Arie Goldstein

# Wszyscy umrzemy, a ty będziesz żył

Przełożył
z hebrajskiego
Jacek Sawicki

Nekla 2019

Tytuł oryginału: Kto będzie żył, a kto umrze
Przełożył z oryginału: Jacek Sawicki

Redakcja: Jerzy Osypiuk
Korekta: Krystyna Jagodzińska, Violetta Nowak
Redakcja techniczna, skład: Artur Kaczmarski
Projekt okładki i logo serii: Jacek Papla
Fotografie 1-11 pochodzą ze zbiorów Stowarzyszenia IKAR w Widawie
12- 42 ze zbiorów Vardy Shpaizer i Avnera Paz

Copyright © by Arie Goldstein, 2005
Copyright for the Polish translation © by Jacek Sawicki, 2019
Copyright for this Edition © by Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne, 2019
ISBN 978-83-939660-6-6

Nekielskie Stowarzyszenie Kulturalne
ul. Poznańska 25, 62-330 Nekla
www.nsk.nekla.eu
www.oledry.nekla.pl
www.oledry.nekla.eu

Inicjatywa Kulturalno-Artystyczna Regionu
Stowarzyszenie "IKAR"
ul. Pomorska 2, 98-170 Widawa
www.ikar.art.pl

Druk i oprawa: Alf-Druk
ul. Brodowska 18, 63-000 Środa Wielkopolska

Zadanie publiczne współfinansowane przez Powiat Wrzesiński

*Drogiej Brurii,*
*drugiej kobiecie mojego życia,*
*bez której słowa te nie zostałyby napisane.*

*Ku pamięci mojej żony Kamili,*
*zmarłej 24 grudnia 1991 roku,*
*z którą przeżyłem 43 szczęśliwe lata.*
*Ku pamięci moich krewnych:*
*mojej matki Blumy, moich braci Nehemia, Herszla i siostry Lei,*
*którzy zginęli w obozie zagłady Chełmno w 1942 r.,*
*mojej siostry Witli, którą pochłonęły wody Zatoki Lubeckiej na zachodnim Bałtyku,*
*po zatopieniu 3 maja 1945 r. statku Cap Arcona z więźniami obozów koncentracyjnych na pokładzie oraz mojego ojca Mordechaja, który umarł z głodu i na skutek tortur w obozie Kaufering VII dnia 23 marca 1945 roku.*

*Niech będzie błogosławiona ich pamięć.*

*Nie wiedzieliśmy, jak o tym opowiadać.*
*Nie myśleliśmy, że jesteśmy w stanie opowiedzieć o tych okropnościach, o unicestwieniu naszych rodziców, braci i sióstr, o poniżeniu, o wycieńczeniu, bezsilności i o obozach.*
*Obawialiśmy się, że nasze opowieści wyrządzą naszym dzieciom krzywdę i pozostawią na nich blizny.*
*Obawialiśmy się, że nasze dzieci nie poradzą sobie z naszą przeszłością.*
*Latami zmuszałem się do milczenia, lecz w ostatnich latach zrozumiałem, że nie wolno zapomnieć Zagłady!*
*Jest moim obowiązkiem, wobec mojej rodziny, opowiedzieć o tych strasznych latach życia w gettach, obozach pracy i obozach koncentracyjnych.*

**Spis treści**

Wstęp.....5
Ostatnie dni.....5
Trudne czasy.....8
Nie zdążyłem się pożegnać.....12
Wyścig o Życie.....15
Spotkanie z ojcem.....18
Obóz Andrzejów i łódzkie getto.....20
Auschwitz.....23
Dachau.....25
Wyzwolenie.....29
Marzenia o lepszych czasach.....31
Poszukiwania i nadzieja.....32
Kierunek Erec Izrael.....36
Kamila.....41
Posłowie.....41

## Wstęp

Byłem wtedy małym chłopcem. Gdy wybuchła wojna, w piątek, pierwszego września 1939 roku, miałem 12 lat. Kiedy ta straszliwa wojna zakończyła się, zrozumiałem, że z całej mojej wielkiej rodziny ja jedyny pozostałem przy życiu. Od tamtej pory upłynęły 63 lata. Bardzo niewiele pamiętam z mojego rodzinnego miasta - Widawy, i nie ma już nikogo, kogo mógłbym zapytać… Z trzystu żydowskich rodzin, które żyły w tym mieście przed wojną, ocalały pojedyncze osoby, które rozpierzchły się po świecie i nie ma z nimi żadnego kontaktu.

Moje dzieci, Varda i Avner, wychowały się bez babć i dziadków, bez kuzynów i ciotek. Moja żona i ja straciliśmy to, co najdroższe – nasze rodziny.

Nasze dzieci – a w ostatnich latach – także wnuki, pytały o naszą przeszłość, o czas zagłady. Staraliśmy się wyprzeć te bolesne wspomnienia, unikaliśmy takich pytań. Nie chcieliśmy opowiadać. Nawet w rozmowach z żoną nie wspominaliśmy o Holokauście.

Dzisiaj wracam do tych wspomnień bez szczególnej ochoty i kosztem ogromnego wysiłku emocjonalnego. Czuję, że zostałem obarczony zadaniem opowiedzenia mojej rodzinie o tym, co się wydarzyło.

## Ostatnie dni

Jest rok 1992. Z córką, Vardą, spacerujemy pustymi uliczkami Widawy w Polsce. To podróż do naszych korzeni. Idziemy w stronę budynku, który kiedyś był synagogą. Za nami drepcze starsza kobieta, nasłuchując, w jakim języku rozmawiamy. Przyspiesza kroku i nie potrafiąc powstrzymać ciekawości, pyta po polsku „co to za język?"

„To hebrajski" odpowiedziałem po polsku. „Jesteśmy z Izraela, ale urodziłem się tutaj, w Widawie".

Starsza pani zatrzymuje się i zaczyna zasypywać nas pytaniami, po czym okazuje się, że uczyliśmy się w tej samej szkole i chodziliśmy razem do klasy. Odgrzebujemy wspomnienia, nazwiska znajomych, wzajemnie testujemy pamięć.

Ta rozmowa na ulicy pozwala mi się przenieść w przeszłość.

Urodziłem się w Polsce, w czerwcu 1927 roku, w domu przy ulicy Wieluńskiej, w miasteczku Widawa, w powiecie Łask. Rodzice moi nazywali się Mordechaj Goldstein i Bluma Goldstein, z domu Gerszt. Było nas pięcioro: Witla, Nehemiah, Herszel (Zvi), Lea i ja. Ojciec handlował zbożem i nasza rodzina była dość zamożna – posiadaliśmy piekarnię, sklep spożywczy i ziemię rolną. Ziemię uprawiali okoliczni chłopi. Polski woźnica o nazwisku Bończyk woził ziarno do dużego młyna w Zduńskiej Woli, jakieś 25 kilometrów od naszego domu.

Rodzice mojej matki, Nehama i Leibisz Gerszt, dali mojej matce połowę piekarni w posagu. Pamiętam zaciętą kłótnię między matką a jej bratem Motlem. Ostatecznie ojciec wykupił udział Motla, a sam Motel pracował dalej w naszej piekarni jako płatny pracownik i zapomniał o kłótni.

Oprócz Motla w piekarni pracowało jeszcze dwóch pomocników. Jeden z nich był synem Bończyka. Pewnego dnia wuj Motel odkrył, że ktoś ukradł mu trzy złote. Syn Bończyka

czuł, że podejrzewają go o kradzież, położył te pieniądze w widocznym miejscu i ze wstydu powiesił się w wychodku poza domem. Obawialiśmy się, że zostaniemy obwinieni o jego śmierć. Jego ojciec, który pracował u nas wiele lat, nie miał nam niczego za złe i pracował u nas aż do wybuchu wojny.

W każdy piątek, przed początkiem szabasu, ojciec dawał pracownikom prezenty: chałę i butelkę wódki. Co roku, przed Wielkanocą, ojciec siadał z Bończykiem i sprzedawał mu ocet. Sprawdzali listę i szacowali wartość towaru. A na koniec ojciec wręczał Bończykowi paczkę, a w niej butelkę wódki i jeszcze inne rzeczy.

Matka, Bluma z domu Herszt, była niższa od ojca, włosy miała w kolorze brązowym i prowadziła sklep spożywczy i gospodarstwo domowe żelazną ręką. Pomagała jej garbata żydowska sprzedawczyni, której fartuch zawsze lśnił czystością. Mieliśmy też pomoc domową, chrześcijankę, która wykonywała wszystkie prace domowe i wracała do swojego domu tylko pod koniec tygodnia.

Dzisiaj, po upływie tylu lat, postacie moich najdroższych z tamtego okresu zamazały się. Czasami próbuję sobie przypomnieć rysy ich twarzy i ich sylwetki, ale pamięć zawodzi, a ich postaci widzę jakby przez gęstą mgłę. Pamiętam tylko moją starszą siostrę Witlę, a i to tylko dzięki zdjęciu, które jakoś udało mi się zachować.

Po powrocie do Widawy, po zakończeniu straszliwej wojny, zwróciłem się do Latera, miejscowego fotografa, który uwiecznił na zdjęciach mieszkańców Widawy. Miałem nadzieję, że wśród jego zdjęć znajdę kogoś z mojej rodziny. Fotograf, który był ojcem żony kierownika naszej szkoły, zrobił zdjęcia wielu miejscowych ludzi i rzeczywiście - stał się cud. Wiele z tych zdjęć zachowało się. Wśród nich znalazłem tylko zdjęcie mojej siostry Witli, razem z jej kolegami z klasy, przed wyjazdem na coroczną szkolną wycieczkę. Połowa dzieci na zdjęciach to żydowskie dzieci.

Nie pozostało w moich rękach zdjęcie nikogo innego z moich krewnych, abym w ten sposób mógł uwiecznić ich twarze i obronić pamięć o nich przed zębem czasu.

Świetnie pamiętam dom, w którym mieszkaliśmy. W wyobraźni poruszam się bez trudności po jego pokojach i podwórkach. Nasz sąsiad z lewej był chrześcijaninem i nazywał się Antek Landowski. Był chudy i wysoki, miał brodę i jasne włosy, i często rozmawiał łamanym jidysz z moim ojcem. Sąsiad z prawej był bratem Antka, miał na imię Adam. Obaj mieli sklepy.

Po lewej stronie kamiennej dróżki, która prowadziła na podwórko, znajdował się nasz dom. Po prawej była piekarnia, a za nią magazyny ze zbożem. Na końcu podwórka znajdowały się stajnie. Od frontu domu, który wychodził na ulicę Wieluńską, w odległości kilku kroków od jezdni, matka prowadziła sklep spożywczy z żywnością i wszelkimi produktami do wypieku.

W okresie zbiorów kamienna dróżka wypełniała się furmankami załadowanymi zbożem i mąką. Furmankami powozili okoliczni chłopi. Ojciec z nimi handlował. Płacił z góry część należności w okresie siewów i uzupełniał ją po otrzymaniu zboża w okresie zbiorów. Z magazynów ze zbożem woźnica Bończyk przewoził żyto do młyna w miasteczku obok Zduńskiej Woli i przywoził worki z mąką, które trafiały do piekarni.

O ile pamiętam, mieliśmy dobre stosunki z naszymi dwoma chrześcijańskimi sąsiadami. Nie spotkaliśmy się z przejawami antysemityzmu z ich strony pomimo tego, że byliśmy właścicielami sklepu, który z nimi konkurował.

W Widawie żyło około 300 żydowskich rodzin. Większość z nich stanowili przestrzegający tradycji Żydzi, część ortodoksyjni chasydzi, a reszta należała do ruchu syjonistycznego. Większość sklepów i handlu była w rękach Żydów. W szabasy i święta w miasteczku nie prowadzono handlu, oprócz małej liczby sklepów prowadzonych przez chrześcijan.

Byli wśród nich bogaci i biedni. Większość domów mieszkalnych i sklepów położona była wokół głównego placu miasteczka. Woda nie była doprowadzona do domów, na środku placu była studnia, z której ręcznie wydobywaliśmy wodę. Za pięć groszy Żyd, który się nazywał Berl „der Wassertreiger" i nosił koromysło na plecach, przynosił mieszkańcom wodę do domu. W tamtych czasach za pięć groszy można było kupić bułkę.

Pamiętam Żyda, który grał na skrzypcach. Każdego tygodnia on i jego żona pracowali i ledwo zarabiali na życie, lecz po zakończeniu szabasu on z namaszczeniem wyciągał skrzypce, tak jakby wydobywał skarb, i grał na nich. Przyglądałem mu się z okna i byłem zachwycony jego grą. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale pamiętam, że on i jego żona sprzedawali lody i słodycze. Kiedy podchodził chłopczyk, aby kupić lody, on go pytał: „Co jadłeś po południu?", a jeżeli chłopczyk odpowiadał, że jadł mięso, to on mu nie chciał sprzedać lodów, żeby nie pogarszać sprawy.

W 1918 roku po raz pierwszy powstała w miasteczku świecka, żydowska instytucja kulturalna – biblioteka, która szybko zaczęła cieszyć się dużym zainteresowaniem i stała się bardzo popularna. Biorąc pod uwagę fakt, że nasze liczące 300 żydowskich rodzin miasteczko było małe, to było ono jednak bardzo aktywne z kulturalnego i duchowego punktu widzenia.

W Widawie była piękna synagoga, obok niej znajdował się Beit Midrasz, dom rabina Abrahama Mordechaja Maroko oraz rytualna łaźnia, z której korzystano w piątki. Oprócz tego w miasteczku były szkoły religijne („Talmud Tora") i cheder, w której uczono młodych adeptów Pięcioksiągu. Ojciec mój był syjonistą, lecz przestrzegał żydowskiej tradycji. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wyszedł rano z domu, nie zakładając filakterii. W każdy piątek i szabat chodziłem z ojcem modlić się do synagogi.

Przed wojną, w salonie naszego domu, wokół ciężkiego stołu zbierali się kantor Fiszel i jeszcze kilku Żydów znanych z dobrego głosu, między innymi mój ojciec, na próby nabożeństwa i śpiewów w synagodze.

W piątkowy wieczór zbieraliśmy się w bibliotece, a instruktorka czytała nam opowieści pisarza piszącego w jidysz oraz historie o Erec Israel. Czasami przyjeżdżał do naszego miasteczka wysłannik z Erec Israel. Gościł u nas w domu, a ojciec gromadził kółko słuchaczy. Pamiętam jednego z wysłanników, który nazywał się Hamar i przywiózł ze sobą zdjęcia Erec Israel. Szczególnie widoki Doliny Jezreel i Jerozolimy rozpalały naszą wyobraźnię. Pamiętam, jak ten wysłannik siedział na końcu stołu, a my wszyscy wokół niego, i opowiadał o Erec Israel. Moi rodzice mieli nadzieję, że po ukończeniu przeze mnie szkoły wyślą mnie do Erec Israel. Zrealizowałem to ich marzenie i wyjechałem do Erec Israel, ale oni, niestety, nie.

W szkole uczyłem się z polskimi uczniami. Razem ze mną w klasie była tylko jedna żydowska dziewczynka. Nauczyciele traktowali nas tak samo jak innych uczniów. Kiedy koledzy z klasy mieli lekcje religii z księdzem, żydowskie dzieci miały lekcje religii z rabinem

Abrahamem Mordechajem Maroko. Lekcje te odbywały się w tej samej klasie, a rabin czekał, aż woźny zakryje ikonę z ukrzyżowanym Chrystusem, która wisiała w klasie.

Do szkoły chodziłem tylko w powszednie dni tygodnia. W soboty zostawałem w domu. Mój kolega, Zygmunt Kaczmarek, przynosił mi zadane lekcje i razem je odrabialiśmy.

Po południu chodziłem do szkoły religijnej i uczyłem się komentarzy Raszi i Gemary. Mełamed rabin Pinhas Tuwia Salomonowicz uczył dwóch uczniów – mnie i kuzyna mojej matki, Nehemiaha, który był w moim wieku.

W każdy szabas po południu rabin Tuwia Salomonowicz przychodził do nas do domu, a ja siedziałem pomiędzy ojcem i nim i ćwiczyłem czytanie parszy tygodnia lub Mądrości Ojców. Nawet kiedy chodziłem pływać w rzece lub grać w piłkę nożną, wiedziałem, że muszę wrócić do domu o określonej godzinie. Rabin Pinhas Salomonowicz uczył nas bezpłatnie. On tylko chciał, abyśmy pamiętali o nim i wspominali go po jego śmierci.

## Trudne czasy

W 1938 roku panowało polityczne napięcie między Polską a Niemcami. Młodzi Polacy z miasteczka stworzyli wielką lalkę uosabiającą Hitlera, posadzili ją na furmankę i jeździli z nią naokoło miasteczka. Towarzyszył temu ich śmiech i drwiny z Hitlera. Następnie z wielką radością spalili lalkę, jakby w ten sposób udało im się pokonać Niemców. W powietrzu unosiła się bardzo ciężka atmosfera. Nikt nie wiedział, co będzie. Pierwszego września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę. W miasteczku rozległ się odgłos bombardowania. „Musimy stąd uciekać do większego miasta, do Łodzi" powiedział ojciec. W pośpiechu załadowaliśmy na furmankę najważniejsze rzeczy oraz żywność dla nas i dla koni, i ruszyliśmy w drogę. Furmanka była obładowana pięciorgiem dzieci, ich rodzicami i sprzętem. Udawaliśmy się w nieznane. Widzieliśmy, jak niemieckie samoloty pikowały i ostrzeliwały. Wyglądało to jak chłop, który rzuca ziarno na ziemię podczas siewów. Byliśmy sparaliżowani strachem, ale obecność naszych rodziców i świadomość, że oni wiedzą, co należy zrobić, działała na nas uspokajająco.

Droga do Łodzi była zatłoczona furmankami i pieszymi. Podróżowaliśmy w kolumnie, a niemieckie samoloty ostrzeliwały nas bez przerwy. Wokół nas leżeli ranni, zabici, zwłoki koni i krów. Wszędzie panowało straszliwe zamieszanie, ludzie wzywali pomocy, a nikt nie mógł im pomoc.

Za każdym razem kiedy słyszeliśmy nadlatujące samoloty, zatrzymywaliśmy furmankę i uciekaliśmy w pole. Ojciec, który był żołnierzem podczas pierwszej wojny światowej, powiedział nam, że mamy się kłaść na ziemię i chować za każdym razem, kiedy przelatują nad nami samoloty, a my szybko robiliśmy co powiedział, rzucaliśmy się na ziemię, ale tak, żeby nie było nas za wielu w jednym miejscu, aby nie przyciągnąć uwagi, i modliliśmy się. W każdej przerwie od bombardowania wstawaliśmy i jechaliśmy dalej. Mijaliśmy stosy trupów i zabitych zwierząt. Wokół rozlegał się płacz i krzyki wzywających pomocy.

W godzinach nocnych dotarliśmy do Łodzi, gdzie okazało się, że Niemcy nas uprzedzili i już zdobyli miasto. Zawróciliśmy tą samą drogą do Widawy. Gdy dojechaliśmy do Widawy, doznaliśmy szoku. Wszystkie żydowskie domy wokół placu były spalone. Wszystko uległo zniszczeniu. Zostały tylko ruiny. Do Widawy powróciło 25 rodzin. Pozostaliśmy bez niczego i bez dachu nad głową.

Nazajutrz okazało się, że z wszystkich mieszkańców miasteczka, którzy go nie opuścili, tylko rabin Abraham Mordechaj Maroko pozostał przy życiu, a wszyscy inni zostali zamordowani w tych krwawych dniach, a wśród nich rabin Pinhas Tuwia Salomonowicz i jego syn Nachszon Walwkowicz. Polacy opowiedzieli, że trzy dni po wybuchu wojny pancerne wojska niemieckie weszły do miasteczka. Z łatwością pokonały te siedemdziesiąt kilometrów między granicą z Niemcami a miasteczkiem. Za pomocą miotaczy ognia Niemcy systematycznie palili każdy żydowski dom w miasteczku i ścierali go z powierzchni ziemi. Pozostało tylko kilka budynków, a wśród nich synagoga. Tych niewielu Żydów, którzy pozostali w miasteczku, zginęło w płomieniach palących się domów. W jednym z tych domów zginął mełamed Pinhas Tuwia Salomonowicz, który uczył mnie Pięcioksiągu i wiary, a także jego syn. Wszyscy pozostaliśmy bez niczego. Nasi polscy sąsiedzi powiedzieli, abyśmy zamieszkali razem z nimi, w ich domach.

Z pomocą sąsiadów zbudowaliśmy dom na gruncie, na którym stał nasz dom. Wprawdzie nie taki, jaki był, ale dało się w nim mieszkać. Budowa trwała około dwóch miesięcy. Dom naszego sąsiada, Antka, przetrwał bombardowanie. Jako że przylegał do naszego domu, to musieliśmy tylko dobudować trzy ściany do tej wspólnej. Każdego dnia pojawiały się nowe zakazy i Niemcy ograniczali naszą wolność poruszania się. Nie wolno nam było wychodzić poza granicę miasteczka i musieliśmy nosić żółte gwiazdy na ubraniu. Niemcy wydali rozporządzenie nakazujące nam – bez względu na wiek – noszenie żółtej gwiazdy, a kto się nie zastosuje, miał zostać surowo ukarany.

Rozpoczął się nowy rok szkolny. Poszedłem do szkoły i miałem już się przyłączyć do moich kolegów z klasy. Tego ranka niemiecki żołnierz wszedł do klasy i kazał wszystkim żydowskim dzieciom wyjść z klasy. „Od dzisiaj nie wolno żydowskim uczniom wchodzić na teren szkoły! To nowe prawo, a kto je naruszy, zostanie ukarany" powiedział głosem pełnym nienawiści.

Początkowo Żydzi mogli się jeszcze swobodnie poruszać po miasteczku oraz utrzymywać kontakty z polską ludnością. Ale bardzo szybko i to się zmieniło. Pewnego dnia, kiedy mój ojciec szedł ulicą, podeszło do niego kilku niemieckich żołnierzy i zaczęło go strasznie bić. „To niemożliwe, że to są Niemcy, to jest kulturalny i światły naród a ci, to po prostu zbiry i chuligani" powiedział ojciec, który znał Niemców z okresu pierwszej wojny światowej.

Baliśmy się wyjść na ulicę. Mężczyźni w wieku lat czternastu i powyżej musieli każdego ranka stawiać się na przymusowe roboty, jak na przykład plewienie chwastów miedzy kamieniami chodnika czy też zamiatanie ulic. Spotkania Żydów były możliwe tylko w miejscu pracy, tam mogliśmy zamienić ze sobą kilka słow. O dłuższych rozmowach nie mogło być mowy, bo byliśmy pod ścisłym nadzorem. Wielu Żydów zgromadzono w oborze, gdzie mieli robić wojskowe buty dla niemieckiego wojska. Słomę trzeba było zamoczyć w dużej balii z wodą, aby ją zmiękczyć i upleść z niej długi warkocz. Żydzi musieli stać godzinami pod nadzorem i nie wolno im było ze sobą rozmawiać. Utrzymywałem moją rodzinę dzięki kontaktom, które przed wojną mieliśmy z panem Heiklem, który był Polakiem niemieckiego pochodzenia. Pan Heikel był właścicielem młyna w Widawie. Po zapadnięciu zmroku podkradałem się do młyna, mełłem żyto i pszenicę i przynosiłem do domu mąkę. Utrzymywałem rodzinę na każdy możliwy sposób. Pracowałem przy rozbijaniu kamieni i zrywaniu owoców w sadach chłopów.

Raz zwrócił się do mnie znajomy Polak i zapytał, czy potrafiłbym zaprowadzić krowę, którą kupił na czarnym rynku, w miejsce w odległości 15 kilometrów od Widawy. Prowadziłem tę krowę rowem na poboczu drogi, tak jak na pastwisku. Droga trwała prawie cały dzień. Żółtą gwiazdę schowałem do kieszeni. Niebezpieczeństwo było wielkie, ale nie miałem wyboru, tylko tak mogłem utrzymać rodzinę.

Pewnego dnia, po południu, wśród Żydów rozniosła się pogłoska: Niemcy kazali wszystkim przyjść do synagogi! Na czele wszystkich stal rabin miasteczka Abraham Mordechaj Maroko, święty człowiek, który dla wszystkich był przykładem. Święte księgi zostały ułożone w wielki stos na gościńcu synagogi i tam spalone, a my staliśmy i musieliśmy na to patrzeć.

Niemcy zmusili rabina, aby gołymi rękami wyciągnął z ognia jakiś metalowy przedmiot. Była to chyba oprawka ze srebra, która zdobiła Pięcioksiąg. Krzycząc z bólu, rabin wyciągnął ten przedmiot z ognia i szybko podał go śmiejącym się żołnierzom.

Kiedy płomienie opadły, żołnierze kazali nam pomaszerować na rynek miasteczka. Tam Niemcy zmusili rabina i kilku czcigodnych, brodatych Żydów, aby chodzili wokół rynku z Pięcioksięgiem w rękach. I tak rabin szedł powoli wokół rynku i modlił się z Pięcioksięgiem przyciśniętym do klatki piersiowej, a niemieccy żołnierze przeklinali i drwili z niego, i cięli jego pejsy bagnetami.

Na środku rynku koło studni kazali rabinowi położyć Pięcioksiąg na ziemię. Jeden z Niemców podszedł i polał benzyną świętą księgę. Rozkazali rabinowi, żeby podpalił księgę. Rabin błagał o litość i odmówił podpalenia księgi. Żołnierze pobili go, aż stracił przytomność, a następnie oblali wodą, aby odzyskał przytomność, a kiedy zrozumieli, że dalej odmawia podpalenia księgi, podpalili i jego, kiedy trzymał księgę w rękach: „Teraz módl się do Twojego Boga, żeby dokonał cudu, aby Pięcioksiąg się nie spalił". Ale księga spaliła się, a wraz nią rabin Abraham Mordechaj Maroko. Zginął śmiercią męczennika. Grupka poniżonych i przerażonych Żydów odmawiała fragment modlitwy z nadzieją, że nadejdzie Mesjasz, że musi wydarzyć się cud, że Ten, który siedzi w niebiosach, nie pozostawi nas w niedoli: „Boże, który jesteś w niebiosach, daj znak, że istniejesz", krzyczeli i płakali.

Straciliśmy rabina Abrahama Mordechaja Maroko, który był dla nas świętym człowiekiem, mądrym i podziwianym przez całą naszą społeczność. Zawładnęły nami wielki ból i bezsilność. Bezradni, wszyscy chodziliśmy do jego domu, nie wiedzieliśmy, co przyniesie następny dzień, obawialiśmy się nieznanej przyszłości. Nic nam nie pozostało, oprócz bezustannego modlenia się i zalewania łzami.

Młody chrześcijański chłopak, Bogdan Sutarski, kolega z klasy mojej siostry Witli, podszedł do synagogi i z syczących zgliszczy wyciągnął modlitewnik, który wydany został w 1887 roku. Rok wydania oraz nazwisko rabina Abrahama Mordechaja Maroko wydrukowane były na jego okładce. Po wojnie Bogdan przekazał modlitewnik Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu w Warszawie. W ten sam pochmurny i ciemny dzień w 1939 roku, kiedy zamordowano rabina Mordechaja Maroko, ja miałem 12 lat, a mój ojciec stał w salonie obok okna i powiedział mi: „Arie, nie wiem, jaka czeka nas przyszłość i co nas jeszcze spotka, jednak chcę, abyś się nauczył, jak się zakłada filakterie. Za kilka miesięcy będziesz w wieku bar micwy i nie wiadomo, co się wydarzy do tego czasu. Dlatego też nauczę Cię dzisiaj, jak się zakłada filakterie". W każdym przypadku trzeba było więcej niż jednego razu, abym się nauczył i zapamiętał, ale było coś tak wyjątkowego w tej sytuacji, że byłem niezwykle przejęty.

Niemcy zaczęli gromadzić Żydów, którzy przybywali z małych miasteczek do dużych miast, w gettach. Słyszałem, że wielu dorosłych ludzi zwracało się do rabinów z prośbą o radę. „Nie wyjeżdżać i nie ruszać się z miejsca", odpowiadali rabini, „bo inaczej umrze Mesjasz. I modlić się do najwyższego w niebiosach pomimo wszystkich zadawanych nam cierpień i poniżeń. Tylko modlić się do Najwyższego".

Żydzi kłócili się między sobą o to, jaki czytać rozdział modlitwy, i wszyscy mocno wierzyli, że Mesjasz umrze. Byli tacy, którzy twierdzili: „im większe cierpienie, tym szybciej Mesjasz pojawi się wśród nas". Było niewielu takich, którzy nie posłuchali rabinów, uciekli i udało im się przedostać na terytorium Związku Radzieckiego, gdzie przeżyli.

Pewnego dnia, pod koniec 1940 roku, czy też na początku 1941 roku, we wczesnych godzinach porannych, w naszym domu pojawił się niemiecki żołnierz. Pokazując na zegarek ryknął: „Za pół godziny cała rodzina ma być na ulicy, możecie zabrać ze sobą tyle rzeczy, ile zdążycie załadować na furmankę". Furmanka z zaprzężonymi do niej końmi stała przed wejściem do naszego domu. Ile rzeczy można załadować w ciągu zaledwie pół godziny? Strwożeni biegaliśmy z kąta w kąt, rodzice mówili nam, jakie rzeczy zabrać, a niemiecki żołnierz krzyczał w dalszym ciągu: „Szybciej, wychodzić", a my ładowaliśmy na furmankę najważniejsze dla nas rzeczy, związywaliśmy je cienką linką. Widzieliśmy, że dalej, na ulicy, także stały furmanki przed żydowskimi domami. Pod strażą niemieckich żołnierzy kolumna 25 furmanek ruszyła w kierunku Bełchatowa. Widzieliśmy twarze Polaków, przyglądających się nam zza okna, i mieliśmy łzy w oczach, w miarę jak kolumna oddalała się od domów miasteczka, w którym się urodziłem, i w którym od prawie stu lat żyli moi krewni.

„Stać!", rozległ się wrzask jednego z żołnierzy i kolumna zatrzymała się. Szybko rozpakowaliśmy nasze tobołki i przestraszeni zaczęliśmy się rozglądać. Dokąd mieliśmy iść? Do kogo zwrócić? Gdzie mieliśmy spać? Z czego żyć? Przecież było nas siedmioro. Czuliśmy się wyrwani z korzeniami i osamotnieni.

Kiedy niemieccy żołnierze oddalili się, z domów zaczęli wychodzić ludzie, członkowie miejscowej żydowskiej społeczności. Od razu zaczęli wszystko organizować i załatwiać dom dla każdej z 25 rodzin z Widawy. Tam mieliśmy mieszkać, aż do przeminięcia „burzy". Nam udzieliła gościny rodzina Sapir, która urządziła dla nas pokój w ich domu. Nasza rodzina nie była mała, a pomimo tego rodzina Sapir nie dala nam odczuć, że im przeszkadzamy. Jakoś pomieściliśmy się wszyscy w pokoju i, pomimo ciasnoty, byliśmy zadowoleni. Mieliśmy dach nad głową.

W bełchatowskim getcie mieszkało około 6000 Żydów. Getto było otwarte, można było z niego wychodzić do miasta, ale Żydom nie wolno było wychodzić poza granicę miasta i go opuszczać. Ten, kto się na to decydował, ryzykował życiem. Ale także, kiedy Żydzi wychodzili na ulicę, nie byli bezpieczni. Tak jak w Widawie, Niemcy zatrzymywali ich i wysyłali na przymusowe roboty. Pewnego dnia Niemcy zatrzymali 16 Żydów, wzięli ich jako zakładników i zagrozili, że ich zabiją, jeżeli nie zostanie za nich zapłacony okup. Wśród zakładników był chłopiec z Widawy, Ichiel Roszacki.

Srebro, złoto, gotówka. Moja matka dała srebrne świeczniki, które były w posiadaniu rodziny od kilku pokoleń, w nadziei, że uratujemy Żydów od szubienicy. Zebrano okup: 10 kg srebra, 2 kg złota i dużo gotówki. Okup zaniesiony został na komisariat w Bełchatowie przez przedstawicieli społeczności żydowskiej. Ci spodziewali się, że otworzą się drzwi, i że zakładnicy wyjdą na wolność, ale ku ich gorzkiemu rozczarowaniu usłyszeli, że mają

wrócić do domu i czekać na wyrok. Po kilku pełnych strachu dniach Niemcy nagle uwolnili sześciu zakładników. Zapanowała wielka radość, ale co z pozostałymi? Mieliśmy nadzieję i modliliśmy się o ich uwolnienie.

Po południu, w środę 18 marca 1942 roku, Niemcy rozkazali całej społeczności, mężczyznom, kobietom i małym dzieciom, aby stawili się w centrum miasta. Na rynku Niemcy postawili wielką i długą szubienicę, rozciągniętą między dwoma słupami, z której zwisało 10 sznurów. Na miejscu znajdował się już rząd niemieckich dygnitarzy i lekarz. Najpierw sprowadzono pierwszych pięciu zakładników ze związanymi na plecach rękami, a potem pozostałych pięciu. Zakładnikom założono pętlę na szyję. Niemcy odczytali im akt oskarżenia, w którym oskarżali ich o jakieś przewinienia, po czym natychmiast ich powiesili, a wśród nich Ichiela Roszackiego z Widawy. Nie zapomnę ich ostatnich chwil życia, ich kołyszących się ciał i koloru twarzy, zmieniającego się z czerwonego na niebieski i siny, i ich zdeformowanych twarzy po śmierci. Złamani na duchu i pełni litości dla samych siebie wróciliśmy do domu, gdzie zamknęliśmy się w samotności.

## Nie zdążyłem się pożegnać

Aczkolwiek wiosna była już za pasem, wszędzie ciągle panowało przejmujące zimno, znużenie dawało się we znaki i nie widać było uśmiechu na ludzkich twarzach. Nikt nie miał pojęcia, co przyniesie następny dzień. I rzeczywiście, kilka dni później Niemcy wydali następujące rozporządzenie: wszyscy żydowscy mężczyźni mieli się stawić w synagodze. Słyszano pogłoski, że zgromadzonych tam mężczyzn Niemcy wyślą na tydzień lub dwa do obozu pracy. Kiedy Niemcy się zorientowali, że w synagodze nie zjawiła się wystarczająco duża liczba mężczyzn, przeprowadzili łapanki na ulicach, a wśród złapanych przez nich w ten sposób Żydów znajdował się mój ojciec.

Hinda, nasza sąsiadka z Widawy, widziała, jak złapano mojego ojca. Przerażona, podbiegła do mnie, kiedy mnie zobaczyła idącego ulicą, i powiedziała: „Twojego ojca wysyłają do obozu pracy, nie wiadomo kiedy wróci, więc idź do synagogi i zastąp go. Twoja matka i rodzina będą bezpieczniejsze, jeżeli Twój ojciec tu zostanie". Jej słowa nie były pozbawione rozsądku. Nie zastanawiając się wiele, pobiegłem do synagogi. Nie zdążyłem o niczym powiadomić matki, bo obawiałem się, że nie zdążę na czas i już nie znajdę ojca. Żydowscy policjanci pilnowali wejścia do synagogi. Wśród nich rozpoznałem Daniela Gerszta, dalekiego krewnego naszej rodziny. Ośmieliłem się do niego zwrócić, powiedziałem mu, że ojciec jest w synagodze i poprosiłem o pomoc: „Jestem gotowy, żeby zamiast ojca mnie wysłali do jakiejkolwiek pracy, i żeby ojcu pozwolili wrócić do domu". Daniel trochę się zawahał, kiwnął głową, że się zgadza, wszedł do synagogi, a ja za nim. Jak weszliśmy do środka, głową dał mi znak, abym się zatrzymał i zaczekał. Wokół siebie widziałem wystraszone twarze mężczyzn, a koło ich nóg tobołki z ubraniem przewiązane sznurkiem. Daniel zamienił kilka słów z Niemcami i przywołał ojca i mnie do siebie. Było nas tam pięciu: mój ojciec i ja, Daniel i dwaj niemieccy żołnierze. Niemcy coś do siebie powiedzieli, a mój ojciec, który słyszał, co oni mówili, zbladł i szeptem krzyknął na mnie: „Idź stąd, po co tu przyszedłeś?". Daniel wytłumaczył ojcu, że lepiej będzie, jak wyjdzie z synagogi, bo inaczej Niemcy zabiorą nas obydwu, ojca i mnie. Spojrzenie ojca było pełne bólu, a jego oczy pełne łez. Rozstaliśmy się

bez słów, po czym ojciec wyszedł z synagogi, a ja dołączyłem do reszty mężczyzn. Czułem, że poświęcając siebie, pomagałem rodzinie.

Nie jestem w stanie opisać cierpienia i bólu, odczuwanego przeze mnie i moją rodzinę, po rozstaniu z nimi bez pożegnania. Po latach dowiedziałem się, że bełchatowskie getto zlikwidowane zostało w sierpniu 1942 roku. Około 5000 mężczyzn, kobiet i niemowląt zostało wysłanych do obozu zagłady w Chełmnie i tam zginęli. Wśród nich była moja matka, moi bracia Nehemia i Herszel i moja siostra Lea.

Wyszliśmy z synagogi jednym rzędem, prawie pięćset osób, po czym załadowano nas na ciężarówki, które czekały na zewnątrz. Stłoczeni na pace ciężarówki jechaliśmy na stację kolejową w Bełchatowie. Tam czekał na nas pociąg towarowy, w którym już znajdowali się Żydzi z Łaska, Zduńskiej Woli oraz innych miast.

Wrzeszcząc i krzycząc, niemieccy żołnierze bili nas i wpychali do wagonów. Nie daj Boże, żeby ktoś się potknął, bo zostałby natychmiast zadeptany na śmierć nogami ludzi tłoczących się z tylu. Wepchnięto nas do wagonów, nie było gdzie usiąść, tak, że staliśmy ściśnięci, nie mając czym oddychać. Byliśmy tak pilnowani, że ucieczka nie wchodziła w rachubę.

Pociąg ruszył. Podróż trwała kilka godzin bez przerwy. Ludzie musieli załatwiać potrzeby naturalne na stojąco. W powietrzu unosił się straszliwy odór. Niektórzy opłakiwali swój gorzki los, a znów inni modlili się w nadziei, że ich glos dotrze do Najwyższego. I że im głośniej będą się modlić, tym większy będą mieli pożytek z modlitwy.

Przez szpary w zaryglowanych wagonach nieliczni wybrańcy losu widzieli część trasy, którą jechał pociąg. Nie można jednak było ustalić w jakim kierunku, bo nikt nie znał tej drogi. Zapadł zmrok. Nagle pociąg zatrzymał się. Słychać było kroki ludzi podchodzących do pociągu i drzwi wagonu otworzyły się na oścież. Do środka dostał się podmuch zimnego powietrza. Zobaczyliśmy, że pociąg stał naprzeciwko koszar polskiej bazy wojskowej. W ciemnościach rozlegały się wrzaski: „Ausstseigen! Aussteigen! Schneller! (Wysiadać! Wysiadać! Szybciej!). Spadły na nas razy i kopniaki. Niemcy postanowili, że musimy wziąć prysznic. Przed wejściem do pomieszczenia z prysznicami stali naprzeciwko siebie dwaj niemieccy żołnierze. Nie można było przejść obok nich, nie otrzymując ciosu lub kopniaka. Prysznice znajdowały się w koszarach polskiego wojska. Niemcy wprowadzili nas do pomieszczenia z prysznicami i wrzeszcząc, rozkazali nam: „Rozbierać się! Macie pięć minut na to, aby wszyscy byli nadzy!".

Było oczywiste, że nie mogliśmy się rozebrać w ciągu pięciu minut, bo przecież wszyscy mieliśmy na sobie zimowe ubranie, a wielu z nas było tak otumanionych długą podróżą, w dodatku na stojąco, że ledwo staliśmy na nogach, a już szczególnie ludzie starsi i chorzy. Obok ścian stał rząd ławek. Weszliśmy na nie, aby nie czuć lodowatego zimna przenikającego nasze stopy. Niemiec, który trzymał szlauch w ręce, zaczął oblewać nas lodowatą wodą i ryczał ze śmiechu. Ludzie, którzy nie zdążyli się rozebrać, pozostali z przemoczonym ubraniem. Lodowate zimno przenikało do szpiku kości. Pamiętam, że wielu starszych mężczyzn nie zdążyło zdjąć ubrania i bezsilnie stali poniżeni, drżąc z zimna. Ich rzucające się w oczy małe, białe tałesy i poszargane cycesy miały nas bronić przed wszelkim złem. Następnie Niemcy kazali nam się ubrać i wrócić do wagonów. Jedynym celem tego postoju było znęcanie się nad nami. Okrutne znęcanie. Pociąg ruszył i w środku nocy dotarliśmy do obozu Nekla w województwie poznańskim.

Wysiedliśmy z pociągu. Było nas około pięciuset ludzi, przemoczonych i przerażonych. Mieliśmy ze sobą z domu niewielką ilość przedmiotów osobistych, takich jak futra czy ciepłe ubranie. Kazano nam je ułożyć w stos. Potem powiedziano nam, że wszystko zostanie spalone następnego dnia. Staliśmy w długim rzędzie, a Niemcy sprawdzali, czy mamy scyzoryki lub brzytwy do golenia. Następnie umieszczono nas w drewnianych barakach, po 250 ludzi w jednym baraku. Rozejrzałem się po baraku. Wzdłuż ścian rozrzucona była słoma, a na wysokości ok. 20 centymetrów i w tej samej odległości od ściany założona była deska, aby słoma nie mogła dostać się na środek baraku. Każdy z nas znalazł sobie miejsce wzdłuż ściany i położyliśmy się.

Ledwie udało się zasnąć, a już Niemcy zbudzili nas, wrzeszcząc: „Ustawić się w piątki! Apel!".

Był jasny i mroźny poranek. Staliśmy po pięciu w rzędzie, a Niemiec z rękami założonymi na plecach patrzył na nas z pogardą, jak na podludzi. Ten niemiecki oficer zauważył mojego wujka, Dudi Fejbisza (Lipkowicza), który górował wzrostem i posturą nad resztą stojących mężczyzn.

„Chodź tu!" ryknął na niego niemiecki oficer.

Dudi Fejbisz wyszedł z rzędu, a oficer wrzeszczał dalej: „Ty będziesz kapo (po niemiecku: Du wirst Kapo sein)".

Wtedy żaden z nas jeszcze nie wiedział, co to jest kapo. Natomiast Dudi Fejbisz instynktownie wyczuwał, że to nie mogło być nic dobrego. Zaczął więc błagać Niemca: „Ja nie mogę być kapo, nie nadaję się do tego". Niemcowi bardzo nie spodobała się odpowiedź Fejbisza, więc go straszliwie pobił. Fejbisz krzyczał z bólu i miał połamane nogi.

Kiedy oficer rozkazał innemu rosłemu Żydowi, Józefowi Agalonowi z miasta Łaska, aby do niego podszedł i powiedział mu, że będzie kapo, ten nie ośmielił się odmówić.

Na rozkaz żołnierzy dwóch mężczyzn zaciągnęło Fejbisza do budynku, w którym znajdował się lazaret. Tam, bez dezynfekcji i opatrunku, założono mu gips na brudne i zabłocone nogi.

Obóz znajdował się na opustoszałym terenie, otoczonym wysokim płotem i wieżami strażniczymi. Około trzydziestu metrów od płotu przebiegała droga, a trochę dalej znajdowała się stacja kolejowa w miasteczku Nekla. Po apelu spędziliśmy kilka dni i nocy bez jedzenia i snu. Wyczerpanych i głodnych, zmuszono nas do kopania kanałów. Fejbisza widziałem jeszcze może raz albo dwa w obozie. Z powodu strasznych warunków higienicznych panujących w obozie gryzły nas robaki, pod gipsem na nogach Fejbisza powstała martwica, bóle doprowadzały go do szaleństwa, ale nie było żadnych lekarstw na ich uśmierzenie.

Rano, po południu i wieczorem, siedem dni w tygodniu, w warunkach mroźnej kontynentalnej zimy, wydobywaliśmy żwir. Staliśmy w dołach pełnych wody, kopaliśmy łopatami i staraliśmy się wydobyć urobek na powierzchnię. Woda zmywała piach z łopat, a my ciągle próbowaliśmy wykazać, że udało nam się wyciągnąć trochę ziemi z dołu. Niemieccy strażnicy często bili nas, krzycząc: „Dlaczego nie wydobywasz ziemi z dołu?"

Dwa duże baraki służyły jako miejsce zamieszkania pięciuset więźniów, a obok nich była kuchnia, przychodnia, magazyn i barak, w którym przeprowadzano dezynfekcję. W barakach poza obozem mieszkali Niemcy. Na środku obozu stał żelazny wagon pełen wody. Pod tą wodą (ciągle tą samą) myło się pięciuset więźniów. Dopiero po kilku tygodniach zainstalowano w obozie krany z wodą.

Żydzi w obozie pochodzili z Widawy, Łaska, Wielunia, Pabianic, Zduńskiej Woli, Wieruszowa, Łodzi, Włocławka. Większość z nich to handlarze oraz ludzie, którzy - pracując w swoim zawodzie - nie posługiwali się rękami. Na rękach mieliśmy bąble i odciski, ciała nasze byłe obolałe, a nogi ociężałe. Zazwyczaj pracowaliśmy od 10 do 12 godzin bez przerwy. Rano, po jednej-dwóch godzinach pracy, otrzymywaliśmy porcję chleba. Czterech więźniów otrzymywało jednokilogramowy bochenek, który skrupulatnie dzielili na cztery równe części. Kiedy kończyliśmy pracę, zmęczeni i głodni, biegliśmy ustawić się w kolejce do kuchni, aby otrzymać porcję wodnistej zupy. Każdy z więźniów nosił talerz przytroczony na biodrach. Wszyscy pilnowaliśmy naszych talerzy jak najdroższego skarbu. Jeżeli jakiś nieszczęśliwiec zgubił lub skradziono mu talerz, to zupę wlewano mu do rąk. Wiele razy zdarzyło się, że niemiecki żołnierz podchodził do stojących w kolejce po zupę i wyciągał z końca kolejki ludzi, którzy mu brakowali do uzupełnienia kontyngentu pracowników na drugą zmianę. To dla tych ludzi oznaczało wyrok śmierci. Ich organizm nie mógł tego wytrzymać, z powodu wycieńczenia i głodu. W ciągu dwóch miesięcy, z pięciuset ludzi więzionych w obozie, umarło około 300.

Od dnia, kiedy przybyliśmy do obozu, nie zmieniliśmy ubrania. Było ono brudne i zawszawione. Spaliśmy i pracowaliśmy w nim. Wszy piły naszą krew. W każdą niedzielę po południu oddawaliśmy nasze ubranie do dezynfekcji i nadzy staliśmy na dworze do końca dezynfekcji. Wszy jednak wracały i mnożyły się na naszych ciałach. Nieraz zdarzyło się, że oddano mi ubranie kogoś innego. Ubrania były tak podarte, że zaczęły się rozpadać. Najbardziej pomysłowi więźniowie zaczęli nosić ubrania i buty, które ściągnęli z trupów. Walka o przeżycie tak stępiła nasze uczucia, że zobojętnieliśmy nawet na śmierć. Nic nas nie obchodziło. Codziennie grzebano trupy we wspólnym grobie niedaleko obozu. Chorzy pozostawali w baraku, nie chodzili do pracy i nie otrzymywali pożywienia.

Pewnego dnia ja także zachorowałem. Gorączkowałem i zostałem w baraku. Do baraku wszedł niski, kulejący Niemiec, a z nim młodszy od niego Niemiec. Obaj w cywilnych ubraniach. Ten kulejący Niemiec chwycił jednego z chorych za rękę, wykręcił ją do tyłu i zmusił go, aby położył kark na pionowo przybitą deskę, zabezpieczającą przed roznoszeniem słomy. Następnie butem przycisnął szyję tego chorego i powiększał nacisk, aż ten zaczął się dusić. Biedak rzęził, ale nie miał siły się opierać i umarł. „Szkoda kuli" wyjaśnił kulejący Niemiec swojemu młodszemu towarzyszowi. Owładnięty zgrozą zrozumiałem, że jeżeli pozostanę tam, to spotka mnie podobny los. Szybko wstałem i wybiegłem z baraku w kierunku placu robót, żeby dalej pracować, pomimo mojej wysokiej gorączki.

## Wyścig o życie

Jednej nocy śnił mi się koszmar. Ogień wybucha wielkim płomieniem i wszystko spala. Słyszę ludzkie głosy, krzyki, cały świat płonie, ogłuszający hałas, szaleństwo i wszystko się spala. Widzę zasieki, przechodzę przez nie i nagle… spokój i cisza. Wszyscy wokół mnie zniknęli, nie ma żywej duszy, nie ma ludzkich śladów i pozostałem sam, jeden jedyny na świecie.

Obudziłem się w panice. Sen nie dawał mi spokoju. W domu nie było przyjęte, żebyśmy komuś opowiadali zły sen, ale nie mogłem się powstrzymać. Postanowiłem, że opowiem ten sen Natanowi Leib Kornowi, który był przyjacielem mojego ojca i był w jego wieku. Tego

samego rana podczas pracy zwróciłem się do niego: „Natanie Leib, miałem sen i muszę Ci go opowiedzieć".

Natan Leib słuchał, opowiedziałem mu mój sen, a on powiedział: „Mój mały Arie, my wszyscy tutaj umrzemy, a ty przeżyjesz, ty przeskoczysz te zasieki i przeżyjesz". Z głęboką wiarą przyjąłem jego słowa. Byłem pełen nadziei i pewności, że uda mi się przeżyć.

Każdego dnia ludzie umierali z głodu, od bicia, z wyczerpania i chorób. Lazaret był pełny chorych i nie można było im pomóc. Nie było lekarstw.

Pewnego zimowego i deszczowego dnia, w godzinach popołudniowych, wyciągnięto wszystkich więźniów obozu z ich miejsca pracy i zgromadzono na placu na środku obozu. Pod daszkiem stali dwaj gestapowcy w przeciwdeszczowych płaszczach i kaloszach. Wiedzieliśmy, że na stacji stoi pociąg. Rozeszły się pogłoski między nami, ze pociąg miał zabrać pewną ilość więźniów do obozu zagłady. Najpierw zabrano chorych z lazaretu, a następnie tych, którzy nie byli w stanie pracować, a jeżeli kontyngent nie był wypełniony, to brano także zdrowych ludzi. Wiedzieliśmy, że chorzy z lazaretu już byli w drodze do pociągu. Kapo wyciągali ludzi z rzędów.

„Brakuje jeszcze jednego", powiedział gestapowiec i wskazał na mojego przyjaciela, chłopca w moim wieku, który stał obok mnie. Gestapowiec rozkazał, aby go zabrano do transportu. Obydwaj mieliśmy piętnaście lat i byliśmy najmłodsi w obozie. To było przyczyną tego, że się zaprzyjaźniliśmy. Niemiecki kierownik robót, który był zadowolony z pracy mojego przyjaciela, próbował interweniować i powiedział: Ten chłopak pracuje u mnie i jest mi bardzo potrzebny. Jest bardzo pracowity i proszę, aby pozostał u mnie".

Gestapowiec wskazał na mnie. Niemiecki kierownik, który był za mnie odpowiedzialny, nie chciał, aby mnie zabrano. Wyjaśnił gestapowcom, jak ważne było, abym został. „Ale ja także potrzebuję jednego z nich", powiedział gestapowiec, który zaczął tracić cierpliwość i dodał: „Wy dwaj będziecie się ścigać, a ten, który przybiegnie pierwszy, pozostanie w obozie". Na znak dany przez gestapowca zaczęliśmy biec w ulewnym deszczu. Przeskakiwaliśmy nad dołami i kanałami pełnymi wody. Czasami wpadaliśmy do nich, ale natychmiast się z nich wydostawaliśmy. Ślizgaliśmy się w błocie, ale biegliśmy dalej. Czułem ból w płucach z wysiłku i brak mi było tchu. Zwyciężyłem. Mojego przyjaciela zabrano do transportu, który odesłano do pociągu. Cieszyłem się, że uda mi się przeżyć jeszcze jeden dzień.

Wśród opuszczających obóz znajdował się także Dudi Fejbisz (Fawisz) Lipkowicz. Dla niego stanowiło to prawdopodobnie pewnego rodzaju wyzwolenie. Gdyby pozostał w obozie, umarłby w długich i ciężkich mękach. W Chełmnie czekała na niego szybsza śmierć.

Gdy pociąg opuszczał stację, odczuwałem pewną ulgę. Do ostatniej chwili obawiałem się, że gestapowiec powróci i zażąda, abym wsiadł do pociągu. Było kilka prób ucieczki z obozu. Wszystkich złapano. Było ich około dziesięciu, a wśród nich kolega z klasy mojej siostry, Witli. Nazywał się Wolnicki. Nie pamiętam, jak miał na imię. Gdy Niemcy ich złapali, związali zbiegom ręce na plecach i przywiązali do słupów z zasiekami. Tak przywiązani stali noc i dzień bez jedzenia i wody. Potrzeby naturalne musieli załatwiać na stojąco, ślina spływała im po twarzy, a głowy im opadały. Nie wolno było do nich podchodzić, aby im pomóc, bo groziło to śmiercią. Nie wiadomo, ilu ludzi Niemcy by zamordowali, gdyby nie udało im się ująć zbiegów. Aby uniemożliwić ucieczkę, Niemcy ostrzegli nas, że jesteśmy odpowiedzialni jeden za drugiego, i że jeżeli ktoś spróbuje uciec i nie zostanie złapany, to zamiast niego oni zabiją innych żydowskich więźniów. Po dwóch czy trzech dniach, podczas

których zbiegowie byli przywiązani do słupów, Niemcy urządzili okrutne przedstawienie. Wróciliśmy do obozu po długim dniu pracy, myśląc tylko o porcji jedzenia. Zatrzymaliśmy się przed bramą obozową. Przed nami wisiało dwóch zbiegów. W milczeniu poszliśmy dalej, do miejsca, gdzie rozdzielano porcje z jedzeniem. A tam Niemcy powiesili jeszcze dwóch zbiegów. Milcząc, ustawiliśmy się w kolejce po jedzenie i ukradkiem patrzyliśmy na wisielców. Otępiałe uczucia, przechodzące w zobojętnienie, dawały siły na przetrwanie. Tak zachowywaliśmy energię umożliwiającą przeżycie jeszcze jednej godziny, jeszcze jednego dnia. Następnie poszliśmy do baraku, aby złożyć nasze umęczone ciała na pryczę i jakoś wypocząć. Przy wejściu do baraku natknęliśmy się na następnych dwóch wisielców. A także obok kranów z wodą oraz w kilku innych miejscach w obozie. Ludzie, którzy byli w obozie, kiedy wieszano zbiegów, opowiedzieli nam, że Niemcy podzielili skazanych na śmierć na dwie grupy. Obiecali im, że ta grupa, której uda się powiesić tę drugą, pozostanie przy życiu. Pomiędzy grupami rozpętała się przerażająca walka, która dla Niemców stanowiła zabawne przedstawienie. W końcu jeden zbieg wieszał drugiego. Na zakończenie Niemcy powiesili także zwycięską grupę.

Wydarzenia w tych ostatnich dniach znacznie podkopały stan psychiczny wielu więźniów. Byli tacy, którzy całkowicie stracili nadzieję i poszli na słodką śmierć, która wyzwoliła ich ciała i dusze od męki. Próbowałem pracować z całych sił, siłami piętnastoletniego chłopca. Nie chciałem dać Niemcom powodu, aby mnie pobili lub zabili.

Kilka dni po tym, jak Niemcy powiesili zbiegów, kierownik robót zwrócił się do mnie i spytał: „Kto potrafi pracować z koniem i zajmować się nim?" Odpowiedziałem mu: „Ja mam w tym doświadczenie. W domu mieliśmy konie". Natychmiast ogłoszono, że będę odpowiedzialny za konia i dwie furmanki. Miałem jeździć jakieś dwa kilometry ze żwirem z kopalni na bocznicę kolejową i tam wyładowywać piach.

Nikt mnie nie pilnował, pracowałem samodzielnie, sam doglądałem konia. Niemcy byli ze mnie zadowoleni.

Przy drodze z kopalni na bocznicę leżał olbrzymi kamień. Młoda dziewczyna w moim wieku zostawiała dla mnie jedzenie za kamieniem: gotowane kartofle, chleb i kawałki kiełbasy. Podczas wypraw z koniem szybko zjadałem wszystko, a dziewczyna stała i przyglądała mi się. Każdego dnia, o stałej porze, dziewczyna stała przy kamieniu i zostawiała dla mnie małą paczuszkę. Nigdy nie zamieniłem z nią ani słowa i nie wiedziałem, jak ma na imię. Panował całkowity zakaz jakiegokolwiek kontaktu między Polakami, chrześcijanami i Żydami. Gdyby nas przyłapano na rozmowie, zarówno ona, jej rodzina i ja bylibyśmy zagrożeni. Porcja jedzenia, którą zostawiała dla mnie każdego dnia, wzmocniła mnie fizycznie i duchowo, i pozwoliła przeżyć ten ciężki okres.

Praca z przewożeniem żwiru dobiegła końca, a mnie przeniesiono do fizycznej pracy, polegającej na układaniu szyn. Od tej pory nie mogłem zatrzymywać się przy kamieniu i już nigdy nie zobaczyłem tej dziewczyny. Głód sprawiał mi ból i męki. W ciągu zaledwie dwóch miesięcy wszyscy całkowicie zobojętnieliśmy, a nasze zmysły i myśli dotyczyły tylko zdobycia pożywienia. Niedaleko od miejsca mojej pracy zobaczyłem kilka pojedynczych domów przy wjeździe do wioski. Oddaliłem się od grupy, pobiegłem do jednego z domów, aby tam poprosić o jedzenie. Kiedy znalazłem się w pobliżu jednego z domów, stara kobieta wyszła mi na spotkanie i zaprosiła do środka. Nie chciałem wejść, bo bałem się, że Niemcy odkryją,

że zniknąłem. Chciałem tylko dostać trochę jedzenia i szybko wrócić do pracy. Już nie mówiąc o tym, że byłem brudny i zawszony.

Kobieta nie ustępowała i zaprosiła mnie do stołu. Nie mogłem oprzeć się pokusie i wszedłem do środka. „Synu! Ja wiem, co się tam dzieje, rozmawiałam z motorniczymi lokomotyw, a oni opowiedzieli mi, że was wszystkich zabijają. A szczególnie tych, których przewożą do obozu w Chełmnie. Nie wracaj do pracy, zostań u mnie, ja jestem samotną kobietą i nikt o tym nie będzie wiedział. Ja chcę Ciebie tutaj ukryć".

Pamiętałem ofiary ostatnich ucieczek, jak torturowano i powieszono zbiegów w kilku miejscach. Wiedziałem, co się ze mną stanie, jeżeli mnie znajdą, a także jaki los czeka kobietę, jeżeli się okaże, ze udzieliła mi schronienia. Podziękowałem, pożegnałem się z nią i podkradłem z powrotem do pracy przy układaniu szyn. Nasz kierownik robót był Polakiem. Miał na imię Piotrek. Był w dobrych stosunkach ze swoim niemieckim zwierzchnikiem. Piotrek był specjalistą w swoim fachu. Czasami kazano mi sprzątać pokój i biuro niemieckiego kierownika. W biurze znajdowałem czasami resztki jedzenia, które pożerałem na miejscu. Znajdowałem tam także dużo niedopałków papierosów, a te zamieniałem na racje chleba u innych więźniów, którzy byli gotowi zrobić wszystko, aby zdobyć niedopałek papierosa.

## Spotkanie z ojcem

W pierwszych dniach pobytu w obozie miałem poczucie winy. Żałowałem, że nie zdążyłem pożegnać się z moją matką, siostrami Witlą i Leną oraz z braćmi Nehemiahem i Herszlem. To mnie bardzo dręczyło i smuciło, ale z czasem głód i niedola przytępiły te odczucia. Myślałem tylko o tym, jak przetrwać. Pewnego dnia z daleka zobaczyłem grupę maszerujących ludzi. Po sposobie chodzenia można było się domyślić, ze byli to Żydzi. Pilnowali ich niemieccy żołnierze. Poprosiłem Piotrka, żeby mi pozwolił wyjść im na spotkanie, dowiedzieć się kim są, bo może wśród nich był jakiś mój krewny. „Zrób to szybko, biegiem i natychmiast wracaj". Wolno przebiegłem obok nich i nagle, ku mojemu zdumieniu, zobaczyłem ojca. On także zdążył mnie zobaczyć, ale w żaden sposób nie pokazaliśmy, że się znamy. Baliśmy się reakcji niemieckich strażników. Szybko wróciłem i opowiedziałem ludziom, którzy pracowali ze mną, że w grupie, która przechodziła niedaleko stąd, zobaczyłem ojca. Kiedy powróciłem do obozu, opowiedziałem o tym Jakubowi Rafaelowi Tannenbaumowi pochodzącemu z Widawy, któremu powierzono odpowiedzialność za lazaret.

Dopiero po kilku dniach Jakubowi udało się ustalić, dokąd zmierzała grupa maszerujących Żydów. „Oni poszli do obozu Gutenbrunn" powiedział Jakub i dodał: „To niedaleko stąd. O ile mi wiadomo, to wkrótce także z naszego obozu ludzie zostaną przeniesieni do Gutenbrunn". Poprosiłem go, żebym był wśród ludzi, którzy mieli być przewiezieni do obozu Gutenbrunn. I rzeczywiście, po kilku dniach poinformowano nas, że grupa ludzi zostanie przeniesiona do tego obozu, a ja znalazłem się wśród nich. Związane było z tym niebezpieczeństwo, że po pierwsze, nie wiedzieliśmy, jaki los czekał ludzi w nowym obozie, a po drugie, czy naprawdę zostaniemy wysłani do Gutenbrunn, czy też do innego obozu. Nadzieja na spotkanie z ojcem była tak silna, że zdecydowałem się na ryzyko. Przyjechałem do Gutenbrunn i spotkałem ojca. Wielka to była radość. Ja, dziecko szczęścia, wybraniec losu, na chwilę zapomniałem, ojciec zresztą też, w jakiej rzeczywistości żyjemy. Ojciec opowiedział mi o matce, o siostrze Witli, o Nehemiahu i Lei, i o chwili, kiedy przybiegłem go

zastąpić w Bełchatowie w synagodze i dlaczego był wściekły i nie chciał, abym go zastąpił. Słyszał, jak jeden Niemiec mówi do drugiego: „najpierw wyślemy syna, a potem jego ojca". A ja opowiedziałem ojcu o Dudim Fejbiszu Kornie i o ludziach z Widawy, którzy zginęli w obozie w Nekli.

Byłem chłopcem, ale już miałem więcej doświadczenia od ojca, jeśli chodzi o życie obozowe i wiedziałem, jak wszystko załatwić. Ojciec nie miał o tym zielonego pojęcia i dlatego ja zaopiekowałem się nim. Tylko jedzenie mogło umożliwić nam przetrwanie. W obozie Gutenbrunn znajdowało się około 500 więźniów z tych samych okolic co więźniowie w obozie w Nekli. Dodatkowo tutaj byli jeszcze więźniowie z Niemiec i Austrii.

Mieszkaliśmy w stajniach, które służyły jako „kwatery" więźniów. Za obóz odpowiedzialny był austriacki Żyd, który nazywał się doktor Grim. Większość robót w obozie polegała na przygotowaniu terenu do kładzenia szyn albo na ich układaniu, ale byli wśród nas i tacy, którzy pracowali przy wyładunku podkładów drewnianych z furmanek lub zbieraniu kartofli i buraków.

Pilnowano nas bardzo skrupulatnie. Wokół obozu przebiegał wysoki płot z zasiekami i stały wieże strażnicze, a na środku obozu stała szubienica. W drodze do pracy widzieliśmy angielskich więźniów, którzy budowali kopce do magazynowania kartofli. W to miejsce zwożono zebrane kartofle, po czym układano je na słomianej podściółce, żeby nie poniosły szkody z powodu mrozu. Każdy dół po zapełnieniu ziemniakami wyglądał jak wzgórze. Czasami, kiedy tamtędy przechodziliśmy, widzieliśmy kopiec, który jeszcze nie był zakryty i udawało nam się ukraść kilka kartofli. Zauważony złodziej dostawał karę w formie pięćdziesięciu batów na gołą skórę.

Kopce z kartoflami były już zakryte. Miałem kolegę w obozie, chłopca w moim wieku, który nazywał się Neumann. Fantazjowaliśmy o tym, jak opowiemy naszym rodzicom po powrocie do domu, jakimi byliśmy bohaterami. Umówiliśmy się, że w nocy uciekniemy z obozu i ukradniemy kartofle z kopca. Głód dokuczał nam aż tak, że warto było zaryzykować. Chleb był marzeniem. Najeść się chlebem do syta, a następnie umrzeć.

Ojcu nic nie powiedziałem. W nocy wykradłem się z kwatery i spotkałem z Neumannem tak, jak się umówiliśmy. Pomimo strasznego niebezpieczeństwa, udało nam się wymknąć z obozu. Dotarliśmy do kopca, idąc prawie w ciemnościach. Rękami przekopaliśmy się do wnętrza i udało nam się wyciągnąć kartofle. Napełniliśmy nimi koszule i spodnie, i wróciliśmy do ogrodzenia z zasiekami. Wszedłem pierwszy i udało mi się przejść przez ogrodzenie. Dostałem się do obozu niezauważony i pobiegłem do stajni, gdzie mieszkaliśmy. Mojego kolegę Neumanna złapano.

Dwupiętrowe prycze stanowiły wyposażenie pomieszczenia mieszkalnego. Ojciec i ja spaliśmy na górnej pryczy. Nad pryczą już wcześniej urządziłem skrytkę. Była tam poluzowana deska, którą pewnego dnia wyjąłem, a za nią odkryłem duże pomieszczenie, skąd prowadziła tajna droga na strych. Umieściłem deskę na jej miejscu i czekałem na odpowiednią chwilę, aby wykorzystać to pomieszczenie. Taka chwila właśnie nadeszła. Przesunąłem deskę i włożyłem kartofle do skrytki. W nocy ojciec poczuł, że nie ma mnie obok niego i bardzo się niepokoił. Powiedziałem mu, dlaczego mnie nie było, a on był na mnie bardzo zły i powiedział: „jako że doszło do naszego spotkania, to musimy się wzajemnie opiekować. To ważne, żebyśmy dalej byli razem i nie rób niczego, nie pytając się mnie" - wyszeptał ze złością.

Nie jestem w stanie opisać, jak pobito i torturowano mojego kolegę Neumanna. Oskarżono go o dywersję, kradzież kartofli i wyjście z obozu bez zezwolenia. Zgodnie z obozowym prawem, za każde z tych wykroczeń groziła szubienica. Pomimo tortur, drogi Neumann nie wydał mnie. Nie powiedział, że miał wspólnika. Tak uniknąłem pewnej śmierci.

Po dwóch dniach wszystkim więźniom obozu kazano wrócić wcześniej z pracy, aby byli obecni przy wieszaniu pięciu Żydów. Postawiono nas w rzędach, pięciu w rzędzie, z twarzą do słupów z szubienicą. Stałem w pierwszym rzędzie, patrzyłem na Neumanna, a on na mnie. Niemiecki żołnierz odczytał wyrok, uzasadnił wyrok śmierci przez powieszenie. Cała wina tych pięciu polegała na kradzieży pożywienia z powodu głodu, który ich doprowadzał do szaleństwa. Obok kolegi Neumanna stał młody chłopak. Ojciec tego chłopaka stał obok niego. Stał i patrzył na swego syna w bezruchu tak, jakby to, co się tam działo, zupełnie go nie dotyczyło. Zobojętnienie święciło triumfy.

Od ciężkiej pracy nabawiłem się przepukliny. Bardzo cierpiałem. Czasem bóle były tak mocne, że musiałem usiąść i odpocząć, bo nie byłem w stanie zrobić jednego kroku. Jeden z niemieckich strażników zauważył, że siedzę i odpoczywam. Smagnął mnie biczem w obecności mojego ojca. Szybko wstałem i pobiegłem do pracy, bo inaczej Niemiec zachłostałby mnie na śmierć.

Prawie nic nie było wiadomo o obozie w Poznaniu. Ci, którzy przeżyli ten obóz, a było ich niewielu, milczeli. Oprócz Nekli, w okolicach Poznania znajdowały się jeszcze inne obozy, a w nich tysiące młodych ludzi z całego województwa łódzkiego. Z wszystkich obozów i gett, w których przebywałem, obóz w Nekli był najgorszy. W ciągu zaledwie dwóch-trzech miesięcy zginęło w nim około 300 ludzi spośród 500. Ludzie umierali z głodu, od bicia, chorób, zabójstw, wycieńczającej pracy, a byli i tacy, którzy popełniali samobójstwo.

## Obóz Andrzejów i łódzkie getto

W 1943 roku Niemcy przenieśli nas do obozu w Andrzejowie, małym miasteczku niedaleko Łodzi. Nie mieliśmy żadnego kontaktu z miejscową ludnością. Na początku pracowałem razem z ojcem. Wyrównywaliśmy podkłady dla trasy kolejowej i kładliśmy szyny. Przepuklina bardzo mi dokuczała, ale musiałem udawać, że jestem młody i silny. Ojciec miał 45 lat. Baliśmy się, że nas rozdzielą i usiłowaliśmy sobie wzajemnie pomagać. W obozie byłem najmłodszy. Na moje wielkie szczęście zostałem mianowany pomocnikiem maszynisty. To był mały parowóz z wagonikami do przewozu piasku, który jeździł na wąskich szynach. Maszynista był Polakiem. Miał dla mnie dużo cierpliwości, uczył mnie, jak wkładać węgiel do pieca i kiedy wlewać wodę do kotła.

Angielscy więźniowie ładowali piasek na wagony w danym miejscu, a żydowscy wyładowywali je w innym miejscu, rozrzucali piasek i przygotowywali podkłady, na których miały być położone szyny.

Tory kolejowe biegły przez pola. Czasami maszynista zatrzymywał pociąg na kilka minut. Biegiem wypadałem z lokomotywy, aby ukraść marchewkę, kapustę, buraki i kartofle. Tyle, ile mogłem.

Angielskich więźniów pilnowali wojskowi, którzy nie zabraniali mi rozmawiać z jednym z nich, który znał niemiecki. Poprosiłem go, aby zdobył dla mnie nitkę i igłę. W obozie

były to dla nas niezwykle wartościowe przedmioty. Następnego dnia więzień ten przyniósł mi papierosy, a także nitkę i igłę.

Zamieniłem papierosy na racje chleba. A za pomocą igły i nitki podreperowałem moje rozpadające się łachy.

W niedzielę, czyli w dzień wypoczynku, ale nie dla Żydów, czyściłem lokomotywę i w ten sposób miałem czas na odpoczynek. Maszynista bardzo dobrze mnie traktował i w miarę możliwości ułatwiał mi życie. Przepuklina nie przestawała mi dokuczać, czasami bóle były tak silne, że musiałem się położyć, aby przeszły. Wyobrażałem sobie: jeżeli kiedykolwiek wydostanę się z tego piekła, to zostanę maszynistą, bo maszynista przejeżdża przez pola i sady i zawsze może zdobyć pożywienie, żeby nie głodować.

Pewnego dnia, w zdumiewający sposób dotarła do nas kartka pocztowa od mojej siostry Witli z łódzkiego getta. Kartka była typową kartką drukowaną w Niemczech, a na kartce było napisane, że nadawca jest zdrowy i cały. Nie wiedzieliśmy, skąd Witla wiedziała, że jesteśmy w obozie Andrzejów.

W lipcu 1943 roku powiadomiono nas, że ojciec i ja znajdujemy się w grupie, która ma być wysłana do łódzkiego getta. Nie mogliśmy wiedzieć i nie mogliśmy sprawdzić, czy rzeczywiście wyślą nas do getta, czy też gdzie indziej. Pogodziliśmy się z losem, przecież chyba nie było innego wyboru? Nie można było wiedzieć, co nas czeka, mieliśmy nadzieję, że będzie dobrze i że może spotkamy się z siostrą, Witlą, w getcie. Była też nadzieja, że w getcie mi pomogą i że nie będę cierpiał na przepuklinę.

Po kilku dniach rzeczywiście przybyliśmy do łódzkiego getta. Umieszczono nas w centralnym więzieniu przy ulicy Czarnieckiego. Było to duże więzienie dla żydowskich więźniów, przewiezionych z obozów koncentracyjnych w Poznaniu i z innych miejsc. Nie wolno nam było opuszczać getta. Polityka przewodniczącego getta, Rumkowskiego, polegała na tym, że kiedy trzeba było wysłać transporty do obozów, to wysyłano ludzi z więzienia a nie z getta, według zasady: „najpierw chroń swoich".

Chaim Rumkowski był przewodniczącym Judenratu. Przed wojną był dyrektorem Centralnego Towarzystwa Opieki nad Sierotami. Często urzędowo przyjeżdżał do Widawy i gościł u nas. Ojciec go dobrze znał. Ojciec przez kogoś powiadomił Rumkowskiego, że siedzimy w wiezieniu przy Czarnieckiego. Po kilku dniach Rumkowski przyjechał z Hansem Biebowem, Niemcem odpowiedzialnym za getto. Rozkazali wszystkim więźniom stawić się na placu przed komendanturą więzienia. Staliśmy tam w napięciu, w łachmanach i chudzi jak szkielety. Strażnik na glos przeczytał sześć nazwisk, a wśród nich było moje i ojca. Wypuszczono nas z więzienia. To się stało naprawdę w ostatniej chwili, bo wszystkich innych wysłano w nieznane miejsce.

W getcie spotkaliśmy moją siostrę, Witlę, którą tu przywieźli z Bełchatowa. Miałem wtedy 16 lat, a ona 17. Spotkaliśmy także mojego wujka, Meira Werfla, braci mojego ojca i mojego kuzyna, Herszla.

Siostra opowiedziała nam, że matkę i naszych małych braci wysłano do obozu zagłady w Chełmnie. Matka miała wtedy 44 lata. Zrozumieliśmy, że mogła się uratować, gdyby pozostawiła dzieci. Wysłano by ją wtedy do obozu pracy i może by przeżyła. Wolała jednak pozostać z trojgiem małych dzieci i nie zostawić ich samych.

Witla uratowała się, bo wyglądała zdrowo i na starszą niż była, dlatego wysłano ją do pracy w łódzkim getcie.

Usłyszeliśmy także historię mojego wujka, Rafaela z Pabianic. Przed wojną Rafael utrzymywał się jako krawiec wysokich rangą oficerów policji. Jego żona miała na imię Ruchcia czyli Rachel. Mieli dwoje dzieci, syna i córkę. Pamiętam imię ich malutkiego synka – Idek. Kiedy wsiedli do pociągu, który miał ich zawieźć do łódzkiego getta, niemiecki żołnierz wyrwał małego Idka z ramion matki i wyrzucił go przez okno. Ruchcia wpadła w depresję. Za każdym razem, kiedy widziała małe dziecko, zaczynała płakać.

W łódzkim getcie mieszkaliśmy u wujka Meira i jego syna Herszla, w domu przy ulicy Studziennej 10. Żona Meira, ciocia Sara, i jej czworo dzieci: Jezechiel, Dawid, Idek i Adla, umarli z głodu w getcie.

Pomimo naszej ciężkiej sytuacji byliśmy z ojcem zadowoleni i szczęśliwi, że los pozwolił nam się spotkać z moją siostrą, Witlą, i z naszymi wujkami i kuzynami. Nasza sytuacja znacznie poprawiła się w porównaniu z tym, co przeżyliśmy w obozach Nekla i Gutenbrunn. Teraz spaliśmy w łóżkach, pod dachem, bez wszy, które wysysały naszą krew i bez strażników SS, którzy nam ciągle grozili biciem. Miałem czyste ubranie i skarpetki. Nie byłem do tego przyzwyczajony.

Jedzenia nie było w getcie. Ludzie umierali z głodu. Na ulicach widać było opuszczone dzieci, których rodzice zostali schwytani i wysłani do obozów, a dzieci pozostały same. Nikt się tymi dziećmi nie opiekował. Wózki pełne zwłok przejeżdżały czasami ulicą. Ja przyjechałem do łódzkiego getta z gorszego piekła, tak, że pobyt w łódzkim getcie stanowił pewnego rodzaju wyzwolenie.

Mój wujek, Rafael, pracował w zakładzie krawieckim przy ulicy Łagiewnickiej 36 w budynku, który przed wojną służył jako szpital. Niemcy zrobili z niego zakład krawiecki, w którym szyto mundury dla niemieckiego wojska. Setki ludzi tam pracowały. Mój wujek Rafael, doświadczony krawiec, był tam kierownikiem technicznym. Bardzo wysokie stanowisko. Załatwił nam pracę w tym zakładzie. Ojciec szył, a ja prasowałem. Praca odbywała się w systemie linii montażowej. Szwacze siedzieli jeden obok drugiego, każdy otrzymywał pocięty materiał, a ostatni wyciągał gotowy mundur. Z jednej strony wchodził materiał, a z drugiej wychodził mundur.

W pracy każdy z nas otrzymywał 250 g chleba i talerz zupy. Czasami mojemu wujkowi udawało się zdobyć dla mnie dodatkową porcję zupy. W getcie byli ludzie, którzy umierali z głodu. Wszyscy myśleliśmy tylko o tym, jak zdobyć pożywienie. W pracy stałem całymi godzinami na nogach i przepuklina męczyła mnie straszliwie. Nie byłem w stanie wchodzić na schody. Mieszkanie wujka Meira, w którym mieszkaliśmy, znajdowało się na czwartym piętrze. Meir i jego syn pracowali jako malarze. Malarze pracowali w większości przypadków dla ludzi zamożnych, którzy nie cierpieli na brak pożywienia, tak że ich sytuacja była względnie dobra.

Pewnego dnia miałem tak silne bóle, że nie mogłem tego więcej wytrzymać i postanowiłem poddać się operacji. Miałem 16 lat. Ojciec nie mógł zwolnić się z pracy. Rozstałem się z ojcem i poszedłem do szpitala, który znajdował się przy ulicy Narutowicza, niedaleko od zakładu krawieckiego.

W szpitalu przyjął mnie na oddział doktor Eliasberg, bardzo znany chirurg. Lekarstw nie było, wszystko było zaimprowizowane.

Lekarze robili co mogli, aby pomóc i ratować ludzi. Operował mnie młody lekarz, doktor Osełka, pod nadzorem doktora Eliasberga.

Operacja udała się i już po dwóch tygodniach wróciłem do domu. Jeszcze nie wyzdrowiałem całkowicie i byłem dosyć osłabiony, ale musiałem wrócić do pracy. W domu nie było co jeść, ponieważ kto nie pracował, nie otrzymywał pożywienia. Z pomocą wujka, przeniesiono mnie do pracy przy ulicy Łagiewnickiej 37, przy pakowaniu ubrań wysyłanych do Niemiec. Przy tej pracy nie musiałem stać godzinami i miałem przerwy na odpoczynek.

W lipcu 1944 roku szef niemieckiej administracji getta, Hans Biebow, wydał polecenie, abyśmy stawili się na placu przy bramie wyjazdowej z getta. Mogliśmy zabrać ze sobą tylko 20 kg bagażu. Na placu zebrało się kilkaset ludzi, wielu żołnierzy SS i wielu żydowskich policjantów.

Biebow przemawiał: „Zamierzamy ewakuować miasto. Nie zagraża wam żadne niebezpieczeństwo. Będziecie pracować w Niemczech. Wielu robotników jest na froncie, a potrzebni są do pracy. Zostaniecie wysłani do fabryk w Niemczech. Każdy z was otrzyma bochenek chleba i jedźcie". Ja i ojciec, z naszym obozowym doświadczeniem, czuliśmy, że to niemiecki podstęp, ale mieliśmy nadzieję, że się mylimy. Każdy z nas otrzymał bochenek chleba i skierowano nas do pociągu z towarowymi wagonami, który stał na stacji. Ludziom kazano wejść do wagonów. Esesmani i żydowscy policjanci wpychali nas do środka. Ojciec, Witla i ja trzymaliśmy się mocno za ręce, aby pozostać razem. Kiedy staliśmy w wagonie, napięci, przyciśnięci jedno do drugiego, popatrzyliśmy sobie z ojcem w oczy i wiedzieliśmy, że nasze odczucia nas nie zmyliły.

Wagony były przepełnione, nie można było oddychać, ludzie załatwiali potrzeby naturalne gdzie mogli, smród i duchota były nie do zniesienia, dokładnie jak podczas pierwszej podróży do obozu Nekla. Ja, siostra i ojciec trzymaliśmy się razem. Nie pamiętam, czy w ogóle zamieniliśmy ze sobą słowo podczas tej dwudniowej podróży.

## Auschwitz

Pociąg zatrzymał się, a przez otwarte drzwi wagonów jakby wylali się ludzie, których natychmiast zaczęli bić czekający na peronie esesmani: „Schneller, schneller, raus" (szybciej, szybciej, wysiadać) wrzeszczeli i kazali nam pozostawić nasz bagaż na peronie. „Kobiety tu a mężczyźni tam" - żołnierze wrzeszczeli dalej. Rozdzielono rodziny.

Znajdowaliśmy się na rampie obozu Auschwitz-Birkenau. Nagle rozpoznaliśmy jednego z Żydów, który wyciągał ludzi z wagonów. Był to syn Sapira, który udzielał nam gościny przez długi okres pobytu w Bełchatowie. „Gdzie my jesteśmy?" spytaliśmy go, gdy ludzie tłoczący się za nami popychali nas do przodu. On wskazał na komin, nad którym unosił się dym i powiedział: „Wychodzi się tędy".

Po rocznym pobycie w getcie trudno było przyjechać do obozu, wyjść z wagonów i zostać natychmiast powitanym wrzaskiem i rykiem żołnierzy. Naprzeciw nas stał jeszcze jeden pociąg. „Skąd jesteście?" - zawołali do nich ludzie z naszego wagonu w nadziei, że znajdą krewnych. „Z południa" - odkrzyknęli. Stary człowiek i chłopiec wyszli z wagonu i dołączyli do grupy starych ludzi i dzieci. Wiedzieliśmy, że oni idą na śmierć.

Posuwamy się w rzędzie do miejsca, gdzie odbywała się selekcja. Szedłem pierwszy, patrzyłem na ojca i bałem się, że już go więcej nie zobaczę. Mengele popatrzył na mnie i kazał mi iść na lewo. Odetchnąłem z ulgą i nie tracąc koncentracji, od razu zwróciłem się do Mengele, który wskazywał na mojego ojca, który miał 46 lat, dużo jak na obóz, i

powiedziałem: „My jesteśmy razem, ojciec umie ciężko pracować". Mengele wskazał na lewo i znów byłem razem z ojcem.

Obóz Auschwitz-Birkenau był olbrzymi. Byliśmy zaszokowani jego rozmiarami. Wieże strażnicze i ogrodzenia z drutu kolczastego pod elektrycznym napięciem ciągnęły się na przestrzeni setek metrów. Ze wszystkich obozów, w których przebywałem, żaden nie był tak strzeżony jak Auschwitz.

Kazano nam ustawić się w piątki i ruszyć w kierunku natrysków. Zawładnęły nami szok i przerażenie. Wprowadzono nas do budynku, gdzie kazano nam się rozebrać. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem mojego ojca nagiego. Następnie wepchnięto nas do drugiego pomieszczenia, w którym znajdował się esesman i stała szubienica. Esesman powiedział: „Ten z was, który ukrywa złoto czy brylanty, a ja wiem jak to sprawdzić, ma teraz ostatnią szansę, aby mi to powiedzieć" i wskazał na szubienicę.

Byliśmy nadzy, było wśród nas kilka osób, które zaryzykowały i połknęły brylant albo ukryły go pod językiem. Fryzjerzy ogolili nam głowy. Zdezynfekowano nas pod pachami i genitalia. Słowa nie nadają się do opisania Auschwitz. Po prysznicu udaliśmy się do magazynu z ubraniem. Wydano nam biało-niebieskie pasiaki, czapkę i buty. Wydany mi pasiak był na mnie za duży. Ojciec dostał buty z drewna. Ludzie nie byli w stanie się wzajemnie rozpoznać. Zaprowadzono nas do obozu Cyganów. Cyganie, którzy mieszkali tam przed nami, zostali uśmierceni i spaleni w krematorium .

Z drugiej strony ogrodzenia przeszła grupa nagich kobiet z ogolonymi głowami. Wśród nich udało mi się rozpoznać moją siostrę Witlę. Była naga i miała ogoloną głowę. „Jesteśmy w piekle" - wyjąkał ojciec. To był ostatni raz, kiedy widziałem Witlę.

W okresie, kiedy przybyliśmy do obozu, zaprzestano tatuowania numerów na ramieniu. Obawialiśmy się, że to zły znak i że jesteśmy skazani na śmierć. Obozowi weterani, którzy widzieli, że nie mamy numerów, powiedzieli nam: „Jako że nie macie numerów, to jesteście w drodze tam" i wskazał na niebo.

Weszliśmy do baraków. Wzdłuż całego baraku stał ceglany piec, za łóżko służyły nam drewniane prycze. Na każdej pryczy spało od ośmiu do dziesięciu ludzi. Na dwóch przypadał jeden koc. Ciasnota wytwarzała ciepło i ogrzewała nasze ciała.

Kilka razy każdego dnia miał miejsce apel, któremu towarzyszyło bicie i kary, które nas doprowadzały do szaleństwa. Spóźnienie się na apel było pretekstem do surowej kary, polegającej na udzielaniu batów na gołe ciało. Jednemu z więźniów, który się spóźnił, kazano podnieść ręce na wysokość ramion i trzymać dwie cegły w jednej ręce. Za każdym razem, kiedy cegła wypadała z ręki, więzień dostawał baty, aż wyzionął ducha.

Birkenau było fabryką śmierci. Otrzymywaliśmy od 150 do 200 g chleba i zupę. Każdy więzień miał przy sobie przywiązany sznurkiem czerwony talerz. Nieszczęśnikowi, który zgubił talerz, wlewano zupę do rąk.

Były dwa przedmioty, których musieliśmy strzec jak oczka w głowie, a mianowicie czapki i talerza. Przy wejściu i wyjściu z obozu musieliśmy zdejmować czapkę na rozkaz. Straszny był los człowieka, który zgubił czapkę, bo poddawany był strasznemu biciu przy wejściu i wyjściu z obozu.

Panował straszny głód. Pewnego dnia zobaczyłem z daleka, że okna kuchni były otwarte, a za nimi zauważyłem duże garnki. Żydowski chłopak z Węgier stał obok mnie. Spojrzeliśmy na siebie, nie zamieniając słowa. Jako że nie było nikogo w pobliżu, rzuciliśmy

się na te garnki i napełniliśmy nasze talerze zupą i mięsem. Od razu ukryliśmy się za barakiem i rzuciliśmy na zupę jak drapieżniki. Nie mogłem ojcu przynieść zupy, bo groziłoby to śmiertelnym niebezpieczeństwem. Gdyby mnie na tym złapano, to dzisiaj bym już nie żył.

W Birkenau pracowaliśmy przy wynoszeniu cegieł z obozu. Dodatkowa praca miała tylko na celu poniżenie nas. Kazano nam wywracać górną część pasiaka na drugą stronę, z guzikami od tyłu, i to służyło jako fartuch: musieliśmy napełniać fartuch cegłami, a następnie przebiec jakieś trzysta metrów i tam wyrzucić cegły. Jak utworzyła się sterta cegieł z jednej strony, to biegiem musieliśmy je przenieść tam, skąd je braliśmy i tak dalej. Towarzyszył temu pogardliwy rechot, wrzaski i przekleństwa Niemców: „Szybko! Szybciej!".

Obozowe latryny pozbawiały człowieka ostatniej resztki poczucia godności własnej. Bardzo długa, betonowa ława z dwoma rzędami okrągłych dziur. Każda z tych dziur służyła jako sedes. Siedzieliśmy na nich, jeden obok drugiego i plecami do tych, którzy siedzieli w drugim rzędzie. Wielu z więźniów było chorych i cierpiało na biegunkę. Byli pozbawieni osobowości, jak bydło. Panował tam straszliwy smród.

Przeżyliśmy z ojcem wiele selekcji w Birkenau, czasami nawet kilka dziennie. Podczas selekcji byliśmy nadzy. Nawet najmniejsza rana na ciele więźnia mogła stać się przyczyną jego śmierci. Każdy z nas usiłował udawać, że jest zdrowy. Podczas każdej selekcji byłem w szponach strachu i modliłem się, aby mnie z ojcem nie rozdzielono.

Pewnego ranka, podczas selekcji staliśmy nadzy całymi godzinami. Dużo czasu zajęło Niemcom postanowienie, kto pójdzie na śmierć, a kto nie. Tym razem poddano nas dezynfekcji. Nasmarowaliśmy ciało lizolem, otrzymaliśmy nowe pasiaki, po czym pomaszerowaliśmy na stację kolejową. Każdy z nas otrzymał bochenek chleba i niewielką ilość kiełbasy. Wepchnięto nas do wagonów towarowych. W wagonach rozrzucona była słoma, ale nie było dosyć miejsca, aby wszyscy mogli usiąść. Po prawie dwumiesięcznym pobycie w Birkenau, cieszyliśmy się, że opuszczamy obóz. Oddalaliśmy się od fabryki śmierci. Znowu długa podróż bez przystanków, znów w powietrzu unosił się smród i zapach moczu, bo ludzie, którzy nie mogli więcej wytrzymać, załatwiali potrzeby naturalne tam, gdzie stali lub siedzieli. Byli tacy, którzy siłą próbowali przepchnąć się do okna, aby wciągnąć trochę świeżego powietrza. Nie znaliśmy naszego miejsca docelowego. Mieliśmy nadzieję, że nasza sytuacja ulegnie poprawie.

## Dachau

Po kilku dniach podróży dotarliśmy do obozu Dachau. Pozostaliśmy tam dzień lub dwa. Przyjęto nas, zarejestrowano i każdy więzień otrzymał numer wydrukowany na czarno na kawałku kwadratowego materiału, przymocowanego do koszuli na wysokości klatki piersiowej. Podczas wizyty w Dachau w 1995 roku, archiwum obozu Dachau udostępniło mi mój numer – 95918.

Z obozu Dachau zawieziono nas do obozu nr 7, niedaleko od Landsberg-Kaufering (Hitler odsiadywał karę pozbawienia wolności w więzieniu w Landsberg i tam napisał *Mein Kampf*) Byłem zaskoczony, gdy spotkałem w obozie doktora Osałkę, który mnie operował na przepuklinę w szpitalu w łódzkim getcie. Dopiero w obozie zrozumiałem, że to była pierwsza operacja, którą kiedykolwiek przeprowadził.

W Dachau było jeszcze jedenaście podobozów. W nich poznałem Żydów z Polski, Litwy, Grecji, Niemiec, Holandii i Węgier. Ogrodzenie z drutu kolczastego oddzielało nasz obóz od obozu dla kobiet z Węgier. Obozy były położone w lasach i nie mieliśmy żadnego kontaktu z ludnością cywilną. Obóz otoczony był trzema ogrodzeniami z drutu kolczastego pod wysokim napięciem i wieżami strażniczymi z reflektorami.

Mieszkaliśmy w ziemiankach. Dzisiaj wiem już, że w każdym obozie było około 60 ziemianek. Każdy z baraków miał około 20 metrów długości, 5 metrów szerokości i wysokość dorosłego człowieka. Po obydwu wewnętrznych stronach baraku stały prycze, które mogły pomieścić 50 ludzi. Szerokość przejścia między pryczami na środku baraku wynosiła jakieś pół metra.

Nad ziemią wystawał tylko dach pokryty chwastami. Niejednokrotnie, kiedy nękał nas straszliwy głód, wyrywaliśmy, żuliśmy i połykaliśmy te chwasty. Z daleka barak wyglądał jak pagórek. Śnieg i deszcz przedostawały się do środka przez nieszczelny dach.

Każdy barak miał swojego blokowego (po niemiecku: Blockaltester). Blokowy był odpowiedzialny za utrzymywanie porządku, rozdzielanie więźniom chleba i zwoływanie więźniów na poranny apel. Blokowi stanowili obozową elitę. Spali przy wejściu do ziemianki na lepszych pryczach i mieli więcej światła, które przedostawało się przez dach z chwastami. Spaliśmy w straszliwej ciasnocie. Każdy z więźniów posiadał jeden koc. Spaliśmy w ubraniach, w których pracowaliśmy. Wszy żywiły się naszą krwią, a z powodu swędzenia drapaliśmy się aż do krwi. Czasami poddawano nas dezynfekcji.

O czwartej nad ranem była pobudka. Dzień rozpoczynaliśmy od sprawdzenia obecności. Jeżeli jakiś więzień zmarł podczas nocy, to umieszczaliśmy jego zwłoki w przejściu, a rano zanosiliśmy je tam, gdzie sprawdzano obecność. Pracowaliśmy w firmie „Muhl i Holzman" przy budowie bunkrów do produkcji niemieckiej tajnej broni, jaką była ulepszona wersja Messerschmidta.

W tym miejscu pracowały tysiące ludzi. Większość z nich stanowili żydowscy więźniowie. Podczas mojej ostatniej wizyty w obozie dowiedziałem się, że Niemcy zamierzali zbudować bunkier o długości 283 metrów, o wysokości 25 metrów i szerokości 80 metrów. Grubość betonowych ścian miała wynosić od 3 do 18 metrów. Na olbrzymim terenie wzniesiono żelazne rusztowania, które następnie miały zostać zalane betonem. Robotnicy, którzy pracowali na tych rusztowaniach i nie zdążyli uciec przed wylewanym betonem, po prostu ginęli. Nikt nie mógł im przyjść z pomocą. Pracowaliśmy na zmiany. Dziesięć lub dwanaście godzin. Ojciec i ja wykonywaliśmy różnego rodzaju prace. Ojciec wylewał beton, a ja pracowałem przy gięciu żelaznych prętów. Przy ostrym mrozie ręce przyklejały się do żelaza. Po południu otrzymywaliśmy wodnistą zupę (Bunkersuppe), która stanowiła nasze jedyne wyżywienie na cały dzień. W drodze powrotnej z pracy do obozu opowiadaliśmy sobie z ojcem, co robiliśmy danego dnia.

Do bunkra wjeżdżały czasami pociągi z ładunkiem cementu, który trzeba było rozładować. Pewnego dnia przeniesiono mnie do rozładunku cementu. Musiałem podnieść trzy worki z cementem - jeden worek na każdym ramieniu i jeden na plecach. To oczywiście przekraczało moje siły. Worki spadły na ziemię, jeden z nich rozerwał się, a cement wysypał się na ziemię. Zostałem obwiniony o sabotaż i pobity. Cement dostał się do moich ran, spowodował zapalenie i bóle w całym ciele.

Bunkier i obozy były położone daleko od siedzib ludności cywilnej. Na odległy plac budowy chodziliśmy pieszo. Pod koszulą owijaliśmy nasze ciała w papier z worków. Więźniowie, których buty były podarte, owijali tym papierem także stopy. W zimowym śniegu lub błocie papier ten przemakał, a nogi prawie zamarzały. Przemoczone ubrania i buty nie wysychały do następnego dnia.

Na plac budowy zaciągaliśmy taczki, na które ładowaliśmy trupy, które następnie wrzucaliśmy do otwartego dołu. Ludzie umierali z wycieńczenia i z głodu, na skutek wypadków przy pracy, a byli także i tacy, którzy popełniali samobójstwo. Niemcy już nie wysyłali ludzi do obozów zagłady, lecz stosowali nową metodę: zagłada przez pracę (Vernichtung durch Arbeit) czyli kto mógł - to pracował, a jeżeli był zbyt wycieńczony, to ginął. Naszym blokowym był niemiecki więzień, Otto. Otto nie był Żydem a na obóz został skazany za popełnione przestępstwa. Pewnego dnia zwrócił się do mnie i powiedział, abym dołączył do Bauern-Kommando - grupy młodych robotników, którą zorganizował. Grupa ta zbierała kartofle na polach gospodarstw należących do kobiet, których mężowie polegli lub zostali wzięci do niewoli. Otto postawił mi warunek: w zamian za załatwienie pracy w Bauern-Kommando miałem mu przynosić żywność z wioski. To byłoby igranie ze śmiercią, bo przy wejściu do obozu byliśmy przeszukiwani. Na moje szczęście blokowy pogodził się z faktem, że nie mogłem mu niczego przynieść z wioski i pozwolił mi nadal pracować w Bauern-Kommando.

Nasza grupa była duża i podzielona na kilka gospodarstw. Moja grupa składała się z ośmiu więźniów. Chodziliśmy kilka kilometrów do wioski Hurlach. We wczesnych godzinach porannych docieraliśmy na pole. Było zimno, ziemia mokra, a kartofle zbieraliśmy gołymi rękami.

Chłopka, u której pracowaliśmy, przychodziła na pole sprawdzać, jak postępuje praca i kiedy widziała, że esesman, który nas pilnował, nie zwracał na nas uwagi, wyciągała gotowane kartofle spod fartucha i rzucała je nam. Tak robiła za każdym razem, kiedy strażnik był nieuważny. Czasami rzucała nam kartofle, a innymi razy pączki. Grunt, że dostawaliśmy coś do zjedzenia. Byłem świadomy ryzyka, lecz nie mogłem oprzeć się głodowi. Połykałem jedzenie w trakcie zbierania kartofli. To trwało kilka dni, aż strażnik zorientował się, co się dzieje. „Czy Pani nie wie, że nie wolno dawać jedzenia Żydom?", krzyknął na nią i za karę nie dostała więcej więźniów do pracy. Bardzo tego żałowaliśmy. Ta praca była dużo lżejsza od pracy przy budowie bunkra. Przeniesiono mnie do pracy przy budowie wojskowego lotniska Lichfeld. Praca odbywała się bardzo daleko od obozu. Przez część drogi do pracy jechaliśmy pociągiem, w wagonach przeznaczonych wyłącznie dla więźniów, a resztę drogi pokonywaliśmy pieszo. Kopaliśmy rowy, a podczas alarmu powietrznego umieszczaliśmy uszkodzone samoloty pod siatką maskującą. Warunki pracy na lotnisku uległy lekkiej poprawie. Otrzymywaliśmy trochę więcej pożywienia, a ci, którzy nie mieli butów, znaleźli szmaty, którymi obwiązali stopy. Przez cały ten okres amerykańskie i brytyjskie samoloty bombardowały nas dzień i noc. Bardzo się cieszyliśmy. Nie przejmowaliśmy się, nawet jeżeli sami mieliśmy zginąć, to najważniejsze było, żeby samoloty nie przestały bombardować Niemców. Pewnego dnia wybrano czterech więźniów, a wśród nich mnie, żebyśmy poszli po mleko do mleczarni w wiosce Kaufering. Długo szliśmy, aż dotarliśmy do wioski. Mieszkańcy wioski przyglądali się nam, bo w naszych podartych i brudnych pasiakach wyglądaliśmy jak istoty z innej planety.

Kiedy napełniano baniaki mlekiem, rozglądałem się wokoło i zauważyłem klatkę z królikami, która stała za mleczarnią pod ścianą. W klatce była marchewka i kapusta. Strażnik nie zwracał na nas uwagi, więc błyskawicznie wyjąłem tę marchewkę i kapustę z klatki i ukryłem w pasiaku.

Żywność, którą zdobywaliśmy przy różnych okazjach, ukrywaliśmy w nogawkach spodni nad butami. Tak udawało mi się przynieść część zdobyczy do obozu i podzielić się nią z ojcem. Miałem szczęście, że czasami zabierano mnie z pracy przy budowie bunkra i wysyłano do innej, lżejszej pracy.

Nasze ciała były wymęczone przez pracę, brak pożywienia, nie mówiąc już o ranach spowodowanych przez drapanie skóry po ukąszeniu przez wszy, które nie dawały nam spokoju. W końcu wybuchła epidemia tyfusu i ja także zachorowałem. Miałem wysoką gorączkę, dreszcze i biegunkę. Byłem osłabiony i cierpiałem na bóle żołądka. Bardzo schudłem. Lekarz stwierdził, że mam tyfus plamisty i przeniesiono mnie z resztą chorych do izolatki w baraku, gdzie leżeli tylko chorzy na tyfus. Ojciec próbował mnie odwiedzać i podtrzymywać na duchu.

Najgorszym elementem choroby była biegunka. Latryna była bardzo daleko od baraku i zawsze zajęta. Chorzy w baraku byli otępiali, a ci, których stan był bardzo ciężki, nie wstawali, aby załatwiać potrzeby naturalne w latrynie. Ciasnota i smród kału w baraku były nie do zniesienia.

Co chwila umierało kilku chorych, których usuwano, a ich miejsce zajmowali następni. Nie było lekarstw. Ludzie chudli, marnieli, gorączkowali, bredzili, a nikt nie mógł im przynieść nawet szklanki wody.

Porcje chleba otrzymywaliśmy każdego dnia, lecz chorzy nie odczuwali głodu i nie byli w stanie jeść. Pomimo ich stanu wkładano im dzienną porcję chleba pod głowę. W nocy więźniowie wchodzili do baraku i siłą zabierali chorym ich porcje. Moją przekazywałem ojcu.

Pewnego dnia postanowiono usunąć chorych na tyfus z obozu nr 7. Rozkazano nam natychmiast opuścić barak i stawić się na apel. Rozeszły się pogłoski, że wszyscy chorzy na tyfus zostaną przeniesieni do obozu nr 4. W tym czasie ojciec był w obozie. Usłyszał te pogłoski i szybko pobiegł do baraku. Wszyscy wiedzieliśmy, że obóz nr 4 oznaczał śmierć.

Ojciec błagał kapo, aby się nade mną zlitował: „Ja chcę być razem z moim synem. Weź mnie razem z nim albo pozostaw go tutaj, w obozie nr 7". Kapo nie zgodził się. Ojciec mocno mnie objął i nie chciał się ze mną rozstać. Kapo uderzył ojca kijem i ryknął na niego, aby mnie puścił. Ostatnimi siłami uwolniłem się z rąk ojca i przeszedłem na stronę, gdzie byli chorzy. Wiedziałem, że ojca zakatują na śmierć, jeżeli będzie mnie dalej trzymał.

Wtedy widziałem ojca po raz ostatni. Poinformowano mnie, że ojciec umarł 23 marca, 1945 roku, pięć tygodni przed wyzwoleniem. Cierpienie, które złamało mu serce oraz razy, które otrzymał od kapo, spowodowały jego śmierć. Ojca pochowano we wspólnym grobie w obozie nr 7 koło Kaufering, razem z ośmioma tysiącami innych ofiar.

Przybyłem do obozu nr 4. Tutaj panowały takie same nieludzkie warunki jak gdzie indziej. Te same baraki, ta sama ciasnota, ten sam głód i ten sam brak lekarstw. Byli tam lekarze, ale nie mogli nic zrobić. Ludzie, którzy cierpieli na biegunkę, czekali na śmierć, która miała ich wyzwolić. W tym samym czasie alianckie samoloty zaczęły bombardować cały ten teren. Dzień i noc słyszeliśmy eksplozje. Z daleka widzieliśmy płomienie pożarów. Było

mi zupełnie obojętne, co się wokół mnie dzieje, ale radowało mnie, że koniec Niemców był bliski.

## Wyzwolenie

Przez cały tydzień alianckie samoloty bombardowały miasta wokół obozu. Niemcy zebrali wszystkich chorych na tyfus i gruźlicę, którzy jeszcze mogli chodzić i wsadzili ich do pociągu. Pozostawili tylko ciężko chorych i rannych. Wepchnęli nas, a było nas około 80, do wagonów bez dachu. Pierwsi ludzie, którzy weszli do wagonów, byli tak wyczerpani, że położyli się na podłodze wagonów, tak że ci, którzy wchodzili za nimi, nie mieli wyboru i musieli stać na leżących kolegach. Na końcu pociągu znajdowały się wagony towarowe przeznaczone dla kobiet.

Później dowiedzieliśmy się, że w obozie nr 4 pozostało około 270 więźniów. Terenowy lekarz obozowy i esesman, dr Blanke, oraz żołnierze, podpalili obóz i w rezultacie 268 więźniów zginęło w płomieniach. Wiem, że czterech więźniów przeżyło. Znam jednego z tych czterech, Erlicha, który dzisiaj mieszka w Kiryat Bialik. Kiedy Amerykanie weszli, doktor Blanke podał żonie i swoim dzieciom truciznę, a sam popełnił samobójstwo.

Pociąg ruszył w kierunku Tyrolu. Słyszano pogłoski, że zostaniemy zlikwidowani w nieznanym miejscu w górach. Pociąg zatrzymał się koło wioski Schwabhausen. Z obydwu stron torów, w odległości kilkudziesięciu metrów rozciągało się miasto. Wkrótce później, obok naszego pociągu zatrzymał się eszelon niemieckiego lotnictwa, przewożący działa przeciwlotnicze oraz żołnierzy. Niemcy posługiwali się nami jako tarczą ochronną. Myśleli, że jeżeli alianccy piloci zobaczą pociąg z więźniami w biało-niebieskich pasiakach, to nie będą ostrzeliwać stojącego obok niego wojskowego pociągu.

Półtora dnia byliśmy zamknięci w pociągu. Wielu z nas umarło. Większość to byli chorzy na tyfus, którzy umarli z wycieńczenia. Rano, po nocy w wagonie, wzdłuż pociągu przeszli kapo z workiem chleba i wrzucili jeden lub dwa bochenki chleba do każdego wagonu. Chleb przechodził z ręki do ręki. Komu się udało, to odrywał kawałek tego chleba. Byli tacy, którym udało się zjeść trochę chleba, a jeszcze inni rzucali się na nich i dusili, aby wyciągnąć im ten chleb z gardła. Ja siedziałem trochę z boku, osłabiony i zobojętniały. Amerykańskie samoloty bombardowały pociąg. Niemcy nas ostrzegli: „Nie wolno wysiadać z pociągu, kto wyjdzie, zostanie zastrzelony!". Niemniej jednak, silniejsi z więźniów wyskoczyli z wagonów i usiłowali dobiec do pobliskiego lasu. Słabszym więźniom nie udało się wspiąć na ścianę wagonu i przeskoczyć przez nią. Na ziemi leżały zwłoki więźniów, a inni więźniowie siedzieli lub leżeli i nie zwracali uwagi na to, co się wokół nich dzieje. Resztkami sił wspiąłem się po ludziach, uchwyciłem ścianę wagonu, przedostałem na druga stronę i spadłem na ziemię. Ludzie, którzy pozostali w zamkniętych wagonach na końcu pociągu, wszyscy zginęli w wyniku bombardowania. Po dzień dzisiejszy istnieje wspólny grób 1000 ofiar obok torów kolejowych w Schwabhausen.

Niedaleko od wagonu stał Szmulik Gawłowicz z Pabianic. Znałem go z obozu. Podszedłem do niego. Na kogo on czekał? Dlaczego od razu nie uciekł? Może nie chciał zostać sam, może chciał, aby ktoś, kogo znał, przyłączył się do niego? Jak by nie było, Szmulik był zdrowszy ode mnie i na pewno myślał jaśniej i trzeźwiej. „Arie" powiedział, „jeśli uda nam się przeżyć tę noc, to dożyjemy klęski Niemców". Słowa te przebiły mur mojego

zobojętnienia, natchnęły mnie otuchą i dały nadzieję i siłę na przetrwanie. Chciałem zobaczyć klęskę Niemiec. To było moim największym marzeniem. Obok wagonu dla strażników Szmulik spostrzegł esesmana, już w cywilnym ubraniu, który odrzucał od siebie broń.

Tak jak wielu innych więźniów, obydwaj zaczęliśmy oddalać się powolnym krokiem w kierunku pobliskiego lasu, aż do niego weszliśmy. Pamiętam wąski rów z wodą, szeroki na nie więcej niż 20 centymetrów, który musiałem przeskoczyć. Musiałem zrobić tylko jeden mały krok, aby tego dokonać, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Stałem i patrzyłem na ten rów jak zahipnotyzowany i wiedziałem, że jestem zgubiony, a mój los przesądzony. Upłynęło trochę czasu i chłopcy z Hitlerjugend zorganizowali się, aby zebrać więźniów i wsadzić ich do wagonów. Stali na brzegu lasu i krzyczeli, że jeżeli wyjdziemy z lasu, to nic nam nie zrobią. Ci, którzy wyszli z lasu, zostali natychmiast zamordowani.

Szmulik powiedział, „że nie wracamy, że musimy przeżyć noc i będziemy wolni". Przez całą noc padał mocny deszcz, a ja byłem całkowicie wyczerpany. Nad ranem udaliśmy się w dalszą drogę. Dokąd, nie wiedzieliśmy. Chcieliśmy tylko oddalić się od torów kolejowych. Dosyć szybko dotarliśmy do jakiegoś pojedynczego domu. Na spotkanie nam wyszedł chłop: „Kim jesteście?" - spytał, a my odpowiedzieliśmy mu, że samoloty zbombardowały pociąg i że „my tam nie wrócimy, a nie wiemy, dokąd iść". Byliśmy przemoczeni, brudni i zawszeni. Chłop wpuścił nas do obory, która stała obok domu. „Rozbierzcie się" - powiedział i patrzył na nasze zawszone i zapchlone ciała i ubrania.

Chłop przygotował dla nas wielką balię, żebyśmy mogli się wykąpać i przyniósł nam połatane, ale czyste ubranie. Gdy się ubieraliśmy, już czyści i obmyci z błota i smrodu, który nas dotychczas otaczał, chłop spalił nasze ubrania i od razu przygotował nam miejsce do spania w oborze. Baliśmy się, że wyda nas gestapo. Nie wiedzieliśmy, czy możemy mieć do niego zaufanie. Weszliśmy na strych obory i czekaliśmy.

Następnego dnia przybiegł ktoś z wioski i poinformował gospodarza, że zbliżają się wojska amerykańskie, i że powinien wywiesić białą flagę. Nikt nie był bardziej szczęśliwy od nas. Zwyciężyliśmy. Amerykanie zbliżają się. Nie upłynęło wiele czasu, gdy nagle pojawili się niemieccy żołnierze i kazali zdjąć biała flagę. Ja i Szmulik od razu ukryliśmy się. Po jakiejś pół godzinie znowu rozległy się głosy na dworze. Koło domu pojawili się dwaj amerykańscy żołnierze. Gdy upewniliśmy się, że to nie Niemcy, wyszliśmy z obory. Jeszcze nie byliśmy całkowicie spokojni. Żołnierze mówili między sobą niezrozumiałym dla nas językiem. Jeden z nich mówił trochę po polsku i zażądał od nas dowodów osobistych. Powiedzieliśmy im, że jesteśmy Żydami, że byliśmy w obozie koncentracyjnym i uciekliśmy ze zbombardowanego pociągu. Trudno opisać, co czuliśmy, to był jakby sen, nie można było uwierzyć, że to rzeczywistość. Byliśmy wolni, wyzwoleni, zbawieni.

Doczekałem się klęski nazistowskich Niemiec, lecz byłem wycieńczony, wyglądałem jak szkielet, muzułman, nie byłem nawet w stanie usiąść. Ale powoli wracała mi chęć do życia. Już czuliśmy się bardziej bezpieczni. Opanowało nas zmęczenie i nie mogliśmy już ustać na nogach. Poszliśmy do obory i położyliśmy się na stosie słomy i przykryliśmy kocem, który przygotował dla nas gospodarz. Spaliśmy długo, dłużej niż dwa dni. Kiedy wstaliśmy, czekał na nas gorący posiłek, przygotowany przez żonę gospodarza. Zapach jedzenia przyprawiał nas o zawroty głowy. Po tak długim okresie, kiedy jedynym naszym pożywieniem była wodnista zupa i trochę chleba, wydawało nam się, że przybyliśmy do raju. Szmulik po prostu

pożerał jedzenie i widać było, jaką mu to sprawia przyjemność. Ja jednak nadal nie byłem w stanie niczego zjeść. Aczkolwiek wyzdrowiałem z tyfusu, to apetyt jeszcze nie wrócił.

Gdy gospodyni zobaczyła, w jakim jestem stanie, zwróciła się do Szmulika i powiedziała: „Niech pan zobaczy, pański kolega nic nie je, za uszami jest całkowicie żółty. Co będzie? Dzień, dwa i on umrze. Lepiej go od razu zabrać do szpitala Św. Otylii". Drzwi były otwarte, tak że słyszałem całą rozmowę. „Muszę wyzdrowieć, muszę" pomyślałem. „Nie mogę pozostać w tym stanie. Teraz, kiedy widzę już wyjście z tego piekła, w którym żyłem, muszę wyzdrowieć".

Zmusiłem się i zacząłem pić i jeść. Jadłem płatki, piłem dużo ciepłego i świeżego mleka, zbierałem świeże jajka składane przez kury w stodole i łykałem pięć lub sześć takich niegotowanych jajek dziennie. Zaczęło mi przybywać na wadze. Zaczynałem być sobą, apetyt wrócił i byłem zdrowy – fizycznie, lecz nie psychicznie.

Dawny zwyczaj kradzieży żywności pozostał. Kradłem chleb i kartofle, chowałem je w oborze pod stosem słomy, na którym spałem. Nie wyzwoliłem się jeszcze od koszmarów i nadal żyłem w szponach strachu. Miałem halucynacje. Kiedy szedłem ulicą, to wyobrażałem sobie, że ktoś mnie ściga i zagraża mi. Ubranie więźnia, pełne robaków, brudne i podarte, mogłem z siebie zedrzeć, wyrzucić i spalić, ale nie te koszmary i obozowe przyzwyczajenia. Ale z dnia na dzień czułem się silniejszy, zdrowszy i wiedziałem, że powracam do życia.

## Marzenia o lepszych czasach

Wkrótce po wyzwoleniu amerykańskie wojska odkryły rowy śmierci i otwarte groby pełne ludzkich zwłok. Amerykański gubernator wydał rozporządzenie nakazujące okolicznym mieszkańcom, żeby na własne oczy zobaczyli uczynki nazistów. Ubrani na czarno mieszkańcy okolicznych wsi ustawili się koło grobów, a gubernator wygłosił mowę, po czym kazał im pokryć groby asfaltem. W tym momencie na ich twarzach widać było przerażenie i odrazę.

Amerykańscy żołnierze zgromadzili więźniów uwolnionych z obozów i przewieźli nas do wioski Kaufering. Wójtowi wioski, panu Frieglowi, zlecono zadanie zajęcia się nami i zapewnienia nam pożywienia i dachu nad głową. Zdarzało się, że dołączali do nas pojedynczy Żydzi, którym udało się przeżyć obozy. Szybko nawiązywaliśmy kontakt z nimi i stawaliśmy się jedną rodziną.

Większość z nich pochodziła z dużych miast, próbowali ustalić, kto z ich krewnych lub przyjaciół pozostał przy życiu i za każdym razem, gdy udało się kogoś odnaleźć, moi nowi przyjaciele jechali do niego, a moja nowa rodzina kurczyła się. Im większe było miasto, tym łatwiej było im ustalić, czy odnaleźć krewnych. Niewielkie społeczności żydowskie w małych miasteczkach zostały prawie całkowicie zlikwidowane. Natomiast w większych miastach Żydzi zaczęli współpracować, stworzyli komitety i organizacje, które pomagały w odszukiwaniu krewnych. Nawet Szmulik, który był dla mnie jakby bratem, dzięki któremu udało mi się przeżyć, odnalazł rodzinę i wyjechał do niej, do Belgii. Za pomocą różnych organizacji ja także zacząłem szukać krewnych. Miałem nadzieję, że komuś z nich udało się uratować. Ale nikogo nie odnalazłem. Znów byłem samotny, pełen litości dla samego siebie i czułem, że w moim przypadku zagłada jeszcze nie dobiegła końca. W duszy na stałe wyryty

miałem lęk i tylko wyczerpanie jeszcze mną nie zawładnęło. Zacząłem pracować w kuchni amerykańskiej armii. To stanowiło pewnego rodzaju pocieszenie i zachętę, a w dodatku miałem co jeść. Miałem dosyć jedzenia, aby nawet móc się nim dzielić z innymi.

W pobliżu miasta Landsberg znajdował się obóz dla żydowskich uchodźców. Mieszkało w nim 4000 ludzi. Obozem zarządzali przedstawiciele UNRRY i JOINTu. Ludzie, którzy przeżyli obozy i wyglądali jak chodzące szkielety, z czasem zaczęli przypominać ludzkie istoty. W ramach rehabilitacji, w obozie powstała szkoła zawodowa „Ort", synagoga i klub sportowy.

Zacząłem się kształcić na technika radiowego w szkole Ort. Już po pierwszej lekcji zorientowałem się, że brakuje mi dużo podstawowej wiedzy i że nie będę w stanie ukończyć nauki tego zawodu. Pewnego dnia usłyszałem, że w wiosce Kaufering mieszka niemiecki nauczyciel. W tym miejscu należy wspomnieć, że w nazistowskich Niemczech wszyscy nauczyciele musieli być członkami NSDAP. Po wojnie zostali zmuszeni do poddania się procesowi denazyfikacji, zanim mogli powrócić do wykonywania swojego zawodu. Nauczyciel, o którym usłyszałem, miał to jeszcze przed sobą, ale nie miał nic przeciwko temu, aby uczyć uczniów w zamian za pożywienie. Poszedłem do niego i poprosiłem, aby mnie uczył matematyki i niemieckiego, a ja bym mu przynosił kawę i papierosy, bo nie miałem pieniędzy. Sprawdził, co umiem i zgodził się.

Nigdy nie zapomnę pierwszej lekcji, podczas której uczył mnie ułamków. Przyniósł jabłko i pokroił je na dwie części. „Widzisz", powiedział, „to połówka i to połówka, a razem stanowią całość". Potem pokroił te połówki na pół i stworzył cztery ćwiartki. To była przyjemna lekcja i miała smaczne zakończenie, bo podzieliliśmy się jabłkiem i zjedliśmy jego „ułamki".

Każdego dnia jeździłem rowerem osiem kilometrów z Kaufering do Landsberg. Ciężko mi było wytrwać. Gdyby ktoś mnie zachęcał i motywował, to może uczyłbym się dalej. Na każdym kroku odczuwałem braki w moim wykształceniu. Nie miałem podstawowego wykształcenia, bo zapomniałem nawet to, czego się nauczyłem, kiedy byłem chłopcem. Brakowało mi kogoś, kto by mną pokierował i zachęcił do dalszej nauki, zazdrościłem ludziom, którzy mieli krewnych. Jak to było dobrze dla nich, że mogli się z kimś naradzić i otrzymać pomoc. Byłem pozbawiony pewności siebie i nie widziałem przyszłości dla siebie. Bez kolegów i bez określonych ram bałem się przyszłości bez jakiegoś sensu. Nie miałem się czego trzymać. Pomimo tego, że doczekałem się upadku Hitlera i nazistowskich Niemiec, moje cierpienia się jeszcze nie skończyły. W dalszym ciągu zmagałem się z trudną rzeczywistością, ale poczucie, że udało mi się uratować, napełniało mnie otuchą i wiarą w życie.

## Poszukiwania i nadzieja

Gdy zbliżał się Sądny Dzień, pojechałem do synagogi w Landsberg na modły. W synagodze wszyscy byli gościnni, dali mi tałes i modlitewnik na Jom Kippur. Kiedy stałem i modliłem się, wspominałem członków mojej rodziny, wspaniałą postać mojego ojca w białym kitlu, modlącego się obok mnie oraz moją matkę, w części synagogi przeznaczonej dla kobiet. Przed oczami mignęła mi postać rabina Abrahama Mordechaja Maroko, spalonego żywcem przez Niemców i obraz dzieci bawiących się przed synagogą. Zapomniałem modlitwę i powątpiewałem w istnienie Boga. „Czy ja tutaj stoję, wierzę i dziękuję Bogu za unicestwienie

mojej rodziny oraz milionów niewinnych ludzi i dzieci?" Zdjąłem tałes, odłożyłem modlitewnik, wstałem i wyszedłem z synagogi w środku modlitwy. Zachwiała się moja wiara w istnienie Boga.

Czas mijał w oczekiwaniu na przyszłość. Wojna skończyła się i zapanował pokój. Ludzie byli zadowoleni i szczęśliwi, a ja byłem sam i smutny. Dręczył mnie fakt, że nie wiedziałem, co się stało z moją rodziną.

Postanowiłem, że pojadę do Polski szukać kogoś z rodziny, kto może przeżył. Sprzedałem zapas żywności, którą udało mi się zebrać, kiedy pracowałem dla Amerykanów: papierosy, kawę, dżemy, konserwy – prawdziwy skarb w ówczesnych Niemczech – i wyruszyłem w drogę autostopem, pociągiem i pieszo. Przyjechałem do miasteczka Selb na granicy Czech z Niemcami. Całą noc ukrywałem się, a o świcie spostrzegłem patrol straży granicznej. Poszedłem za nimi, a gdy oddalili się, to przekroczyłem granicę. Dotarłem do czeskiego miasteczka Cheb, a tam niepostrzeżenie udało mi się wsiąść do pociągu do Pragi. Za każdym razem, kiedy przechodził konduktor, chowałem się w toalecie.

W Pradze udałem się do biura gminy żydowskiej. Tam spotkałem znajomego z obozu koncentracyjnego w Kaufering. Właśnie organizował grupę żydowskiej młodzieży, którą wysyłał na adopcję do Anglii na koszt angielskiego rządu. „Możesz z nimi pojechać", powiedział mi, „ale musisz się zdecydować teraz". Nie chciałem. „Jadę do Polski szukać kogoś z rodziny kto przeżył, a potem spróbuję dostać się do Erec Izrael". Mój znajomy załatwił mi miejsce, gdzie mogłem spać, dostać coś do jedzenia i dał mi trochę czeskich pieniędzy.

Z Pragi pojechałem do Cieszyna i tam przekroczyłem granicę z Polską. Jechałem dalej w kierunku Łodzi. W Łodzi zwróciłem się do gminy żydowskiej i także tam dano mi nocleg i jedzenie. Od dwóch tygodni byłem już w podróży. Pozostałem bez grosza, w tym samym ubraniu, a myłem się w pociągu. Połowę drogi z Łodzi do Widawy przejechałem autostopem na furmankach, a dalej szedłem pieszo. Był rok 1945. I tak, powoli, zmęczony, dotarłem do Widawy.

Byłem w szoku. Miasto było w ruinach, wszystkie domy zburzone, Żydzi spaleni, pobojowisko, nie było prądu, wszędzie pustka. Przeszedłem się po rynku, miejscu, które bardziej niż inne symbolizowało tętniącą życiem Widawę. Przed oczami pojawiły mi się widoki z przeszłości. Sklepy żydowskich handlarzy wokół rynku, ludzie, którzy tutaj bywali, jak Berl der Wassertrager z baniakiem na plecach, który szedł do jednego z domów i zanosił do kuchni wiadro z wodą za opłatą pięciu groszy.

Widziałem twarze ludzi, którzy mieszkali w spalonych domach. Oni także nie przeżyli. Z synagogi Niemcy zrobili magazyn. Wspominałem szabasowe modlitwy w synagodze i znajomych, którzy się tam modlili. Wszystko zniknęło. Byt, którego byłem częścią, został unicestwiony. Nie jestem w stanie opisać bólu i cierpienia, które odczuwałem na widok tej apokalipsy. Człowiekowi trudno jest się pogodzić ze stratą przyjaciół, domu i rodziny i przez bardzo długi czas nie mogłem uwolnić się od wspomnień.

W Widawie mieszkałem u polskiego znajomego, kolegi z klasy. Dowiedziałem się, że byłem jedynym Żydem, który powrócił do Widawy. Szukałem jakiejkolwiek informacji o losie moich krewnych, ale niczego nie znalazłem. W Widawie nie pozostało mi nic. Postanowiłem wrócić do Niemiec. Szanse na dostanie się do Erec Izrael z Niemiec były większe.

Przyjechałem do polskiego miasteczka na granicy z Czechami. Tym razem przedostanie się przez granicę było trudniejsze. Wzdłuż granicy ustawiono przeszkody i tablice

ostrzegawcze: „Kto przekracza granicę, ryzykuje życiem". Przez całą noc wojsko oświetlało niebo racami świetlnymi. Napotkałem dwóch Żydów, którzy tak ja usiłowali przedostać się przez granicę. Dołączyłem do nich. Cieszyłem się z tego przypadkowego spotkania, bo oni lepiej ode mnie znali teren. W napięciu przesiedzieliśmy całą noc na polu koło granicy, a o świcie przeszliśmy na drugą stronę.

Oni nie chcieli, żebyśmy podróżowali razem, więc o własnych siłach musiałem dostać się do Pragi. Z Pragi pojechałem pociągiem do miasteczka Esch. Tam także przesiedziałem wiele godzin na polu koło granicy, aż udało mi się ją bezpiecznie przekroczyć. Z miasteczka Selb, po niemieckiej stronie, jechałem dalej autostopem i pociągiem do Kaufering.

Pewnego wieczoru znajomi zaprosili mnie na spotkanie z gośćmi, którzy przyjechali z wizytą z Monachium. Przedstawiłem się, używając mojego rodzinnego nazwiska: Goldstein. „Czy masz krewnego, który nazywa się Heniek Goldstein?" - zapytali mnie.

„Miałem kuzyna, który nazywał się Heniek Goldstein, malarza z zawodu", odpowiedziałem ze wzruszeniem. Goście podali mi jego dokładniejsze dane i byłem przekonany, że chodzi o mojego kuzyna. Postanowiłem, że pojadę go odszukać.

Nasze spotkanie było wzruszające. Wreszcie udało mi się spotkać krewnego. Heniek przedstawił mnie swojej żonie, Krysi. Obydwoje wyzwoleni zostali z obozów dla chorych na gruźlicę. Koledzy odradzali mi, abym miał z nimi kontakt ze względu na możliwość zarażenia się, ale odmówiłem. Godzinami siedzieliśmy i opowiadaliśmy sobie nasze przeżycia od momentu, kiedy wybuchła wojna. Heniek powiedział mi, że słyszał o wujku Nehemiah, który był bratem mojej matki, bo przeżył i mieszkał w Polsce. Postanowiłem, że spróbuję znaleźć sposób na odnalezienie go po powrocie do domu. Zaproponowałem Heńkowi i Krysi, aby pojechali ze mną do Kaufering. Nie chciałem rozstawać się z jedynymi członkami mojej rodziny. Mieszkałem z nimi i dzieliłem się z nimi wszystkim, co miałem. Heniek był dla mnie jak brat.

Pogłoska, że mój wujek Nehemiah żyje w Polsce, nie dawała mi spokoju. Postanowiłem więc, że znowu pojadę do Polski i go odszukam. Heniek nie wiedział, w którym mieście go szukać. Granica z Polską była zamknięta, a w dodatku dobrze strzeżona, a droga, którą chciałem się dostać do Polski, prowadziła przez Augsburg. Tam był obóz polskiej armii Andersa. W tym obozie przebywali Polacy, którzy podczas wojny byli na przymusowych robotach w Niemczech. Przygotowywali się do powrotu do ojczyzny jako repatrianci.

Kiedy przyjechałem do Augsburga, zarejestrowałem się w obozie jako repatriant. Dostałem jedzenie i po upływie ok. dwóch tygodni pojechałem do Polski pociągiem. Natychmiast po przybyciu do Łodzi udałem się do tamtejszego biura gminy żydowskiej, bo tam znajdowała się specjalna księga z nazwiskami poszukiwanych krewnych. Każdy Żyd, który przejeżdżał przez Łódź lub przyjeżdżał do Łodzi, był w niej zapisany. Byłem szczęśliwy, gdy stwierdziłem, że nazwisko mojego wujka figurowało w księdze. Wujek napisał, u kogo mieszka w Łodzi, tak że mogłem się udać pod ten adres. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu dowiedziałem się, gdy tam dotarłem, że wujek kilka dni temu wyjechał z Polski. Nikt nie umiał mi powiedzieć dokąd, ale miałem jakieś przeczucie. Przed wybuchem wojny wujek był na szkoleniu i wyjechał do Erec Izrael. Źle mi było na duszy i byłem rozczarowany faktem, że spóźniłem się, a już szczególnie, biorąc pod uwagę wysiłek, jaki kosztowała mnie podróż do Polski. Postanowiłem wrócić do Widawy, bo myślałem, że jakiś Żyd tam w międzyczasie wrócił albo że może mój wujek tam pojechał? Ruszyłem w drogę.

Gdy przyjechałem do Widawy, pytałem ludzi, czy może widzieli mojego wujka Nehemiaha, ale nikt go nie widział. Znowu miałem uczucie, że straciłem kogoś bardzo mi bliskiego. Zacząłem się zastanawiać, co począć dalej. Po tym, co przeżyłem w obozach, już się niczego nie bałem. Nie miałem przed sobą żadnych granic czy przeszkód. Do Niemiec nie mogłem wrócić. Nie miałem przy sobie ani grosza. Mój cały majątek stanowiło moje ubranie. Sprzedałem ziemię i dom należący do mojej rodziny. Usatysfakcjonowany, odetchnąłem z ulgą. Część pieniędzy zamieniłem na dolary, kupiłem sobie nowe ubranie i stać mnie było na restauracje. Opuściłem Widawę i postanowiłem, że zrobię wszystko, aby dostać się do Erec Izrael.

Wróciłem do Łodzi. W Łodzi działały syjonistyczne ośrodki i z ich pomocą można było wyjechać z Polski do Erec Izrael. Wstąpiłem do kibucu Dror i przeprowadziłem się do Wałbrzycha. Tam znalazłem nowych przyjaciół, którzy ułatwili mi życie. Rozmawialiśmy między sobą w jidysz. Nie musiałem się więcej martwić o wyżywienie i nocleg. Po raz pierwszy od wyzwolenia z obozu moje życie miało jakieś ramy i miałem towarzystwo, którego mi tak brakowało. Chodziłem na wykłady, poszerzałem moje wykształcenie, nabywałem wiedzę i czytałem książki.

W Wałbrzychu poznałem Kamilę, moją przyszłą żonę. Tak jak ja, ona także została sama z całej rodziny. Wydawało się, że nasz wspólny los nas do siebie zbliżył. Obydwoje wiedzieliśmy, co znaczy być pozbawionym rodziny, ocaleńcem z obozów. Nie musieliśmy sobie niczego tłumaczyć. Dobrze wiedzieliśmy, co to jest samotność. Jej ojciec, matka i dwaj bracia zginęli w Auschwitz. Przed wojną cała jej rodzina mieszkała we Lwowie. Kiedy Niemcy zdobyli miasto, pojechali do Zamościa i tam byli ukrywani w domu polskiej rodziny. W 1942 roku Niemcy odkryli ich kryjówkę i w ich obecności rozstrzelali wszystkich członków tej polskiej rodziny, która ich ukrywała, spalili ich dom. Kamilę i jej rodzinę Niemcy wysłali do Auschwitz.

Bolesne wspomnienia ciążyły Kamili, lecz ona unikała opowiadania o sobie. Nie można było jej nakłonić do tego, aby opowiedziała o przeszłości czy też o swojej rodzinie. Wystarczyło użyć słowa „obóz koncentracyjny" lub „Niemcy", aby doprowadzić ją do załamania, którego nie potrafiła opanować.

Wiele lat później, kiedy rozwiązano kwestię niemieckich odszkodowań dla Izraela, Kamila nie była w stanie nawet o tym myśleć. Nie potrafiła opowiedzieć adwokatowi ani komukolwiek innemu, co się stało z jej rodziną.

Z kibucu Dror wysłano mnie do Friedlandu na kurs dla instruktorów sportu. Szkolenie obejmowało bieg, wspinanie się na linie, alpinistykę, walkę wręcz itd. Po ukończeniu kursu wysłano mnie do obozu szkoleniowego Bolków, gdzie miałem pracować jako instruktor. Tam przygotowywaliśmy się do wyjazdu do Erec Izrael.

Obóz szkoleniowy Bolków znajdował się na Dolnym Śląsku. Obóz i szkolenia odbywały się za zgodą polskich władz. Wszyscy instruktorzy byli Żydami. Odpowiedzialnym za obóz był członek kibucu Ein-Dror, Jakow Natal. Młodzież, która wstępowała do ruchu syjonistycznego i chciała wyjechać do Erec Izrael, przechodziła szkolenie w obozie Bolków. Do momentu mojego własnego wyjazdu z obozu Bolków, szkoliłem młodych ludzi, którzy wyjeżdżali do Erec Izrael.

## Kierunek Erec Izrael

15 maja 1948 roku pojechaliśmy pociągiem z Polski do Francji. Przed wyjazdem pożegnałem się z moją przyjaciółką Kamilą w nadziei, że los pozwoli nam się znowu spotkać. Po dwudniowej podróży dotarliśmy do Marsylii, a stamtąd do obozu Grand-Arence. Tam po raz pierwszy spotkałem północno-afrykańskich Żydów. W obozie przebywaliśmy około półtora miesiąca. Ćwiczyliśmy i prowadziliśmy życie towarzyskie. Pod koniec czerwca poinformowano nas, że za kilka dni odpływa statek do Erec Izrael, i żebyśmy się przygotowali do wyjazdu.

Czwartego czerwca weszliśmy na pokład frachtowca „MONTE CHARO". Kapitanem statku był Włoch o nazwisku Lupardo. Frachtowiec zbudowano w 1920 roku i zupełnie nie nadawał się do transportu pasażerów. Po wielu naprawach oraz zainstalowaniu prycz udało się mniej więcej przystosować statek do zabrania pasażerów. Około pięciuset osób weszło na pokład. Większość była z Polski, a część z północnej Afryki. Panowała wielka ciasnota, brakowało pożywienia i wody do picia. Dzienna porcja pożywienia składała się z herbatników, szprotek, dżemu i picia.

Spotkanie europejskich Żydów z Żydami z Północnej Afryki było pełne nieporozumień. Upał także nie ułatwiał i tak już szwankującej komunikacji, a pogłębiająca się rywalizacja między nami doprowadziła do tego, że kapitan i dwaj Izraelczycy, którzy byli za nas odpowiedzialni, zorganizowali spotkanie między naszymi grupami. Odbyło się ono w piątek, przed początkiem szabasu. Atmosfera była uroczysta i zrobiła na nas wszystkich duże wrażenie.

Kapitan przemawiał po włosku z tłumaczeniem na jidysz i na francuski. Prosił nas, abyśmy byli bardziej tolerancyjni wobec siebie. „Jesteście przecież braćmi i macie ten sam cel". Kapitan osiągnął swój cel i zapanował spokój.

Dwunastego lipca, po ośmiu dniach żeglugi, statek wpłynął do portu w Hajfie. Wszyscy pasażerowie stali na pokładzie i przyglądali się budynkom położonym na zielonej górze Carmel. Rozeszły się pogłoski, że to miał być ostatni rejs tego statku, i że zostanie on sprzedany na złom.

Nie dane nam było długo nacieszyć się widokiem Hajfy i góry Carmel. Natychmiast po zejściu ze statku zaprowadzono nas do rzędu czekających w porcie ciężarówek. Zostaliśmy zawiezieni do wojskowego obozu Palmachu w Kfar Jona, miejscowości oddalonej o jakieś 30 km od Tel Awiwu. Nagle wszystko się skończyło. Samotność, uzależnienie oraz życie w diasporze. Byliśmy wolni. Płakałem ze szczęścia. Przyjechaliśmy do ojczyzny – Erec Izrael.

Komendantem obozu w Kfar Jonie był Haim Bar-Lew, przyszły szef sztabu w latach 1968-1972. Przyjął nas niezwykle serdecznie. Staliśmy w rzędzie, a on przemawiał przez kilka minut po hebrajsku, a następnie jego przemowa została przetłumaczona na jidysz. Poddano nas badaniom lekarskim i natychmiast staliśmy się żołnierzami Palmachu. Ja zostałem odkomenderowany do dywizji Negew. Przydzielono nam bardzo mało ubrania: parę długich spodni, krótkie spodenki, parę skarpetek, czapkę i papierosy. Pojechaliśmy do kibucu Negwa. Po drodze zatrzymaliśmy sie w Beer-Jakow. Tam ludzie pozostawili bagaż, którzy przywieźli ze sobą z Polski. Ja zostawiłem jedną walizkę z ubraniem. Jechaliśmy dalej. Znaleźliśmy kibuc Negwa po pożarze, który miał tam miejsce. Wszystko było zniszczone. Dowiedzieliśmy się, że członkowie kibucu bohatersko walczyli o życie.

Wieczorem, po dniu spędzonym w kibucu, Rehavam Zeevi (Gandi) przygotował nas do pieszej wyprawy do kibucu Ruhama. Wtedy pustynia Negew była odcięta od środka kraju. Aby dotrzeć do kibucu Ruhama, musieliśmy przedrzeć się przez linie, które były w rękach egipskiej armii.

Po zapadnięciu nocy wyszliśmy pieszo z kibucu Negwa i udaliśmy się w kierunku miejsca, gdzie czekały na nas pojazdy. Pod ochroną nocy dotarliśmy bez problemów do kibucu Ruhama. Wieźliśmy ze sobą dużo sprzętu i broni, którą jeszcze nie umieliśmy się posługiwać. Odpoczęliśmy, zjedliśmy i poszliśmy spać. Z kibucu Ruhama pojechaliśmy dalej do kibucu Gvulot. Tam nauczyliśmy się posługiwać karabinem i ciężkim karabinem maszynowym. Udaliśmy się w kierunku Bir-aslog, posterunku wojskowego między kibucem Raviviv i kibucem Meshavei-Sade, który położony był przy ważnym rozwidleniu.

Nie było nam łatwo w kibucu Gvulot. Członkowie kibucu widzieli w nas Żydów z diaspory. Nie wiedzieli i nie interesowało ich, co przeżyliśmy podczas wojny. Instruktorzy nie mieli cierpliwości w stosunku do nas. Jedną z przyczyn była nasza słaba znajomość hebrajskiego, bo każde zdanie musieli nam tłumaczyć.

Po kilku dniach wysłano mnie z jeszcze dwojgiem ludzi do kibucu Nirim. Tam mieliśmy nauczyć się obsługiwać moździerz. Kibuc Nirim, tak jak i Negba, był bardzo zniszczony. Powiedziano nam, że kibuc został zaatakowany i zniszczony przez egipską armię. Członkowie kibucu walczyli bohatersko i go nie opuścili. Opowieści o czynach członków kibuców Negwa i Nirim zrobily na mnie wielkie wrażenie. Ten czas to dla mnie okres długiej przerwy. Po dwóch tygodniach spędzonych w Gvulot i Nirim dojechaliśmy do posterunku wojskowego Bir-aslog w pobliżu kibucu Ravivim. Pustynia, piasek i słońce, upalne dni i zimne noce. Bir-aslog był punktem położonym najbardziej na południe, skąd można było kontrolować rozwidlenie pomiędzy Beer-Szewą i Kairem, na jedynej drodze na środku pustyni.

W Bir-aslog były schrony i rowy obronne. Było nas około 20 żołnierzy, a wokół nas tysiące żołnierzy egipskich. Posterunek wojskowy był otoczony dwoma rzędami zasieków z drutu kolczastego. Między nimi umieszczono miny. W dzień po prostu warowaliśmy, a w nocy staliśmy na warcie od czterech do sześciu godzin. Egipcjanie ostrzeliwali nas z moździerzy i z karabinów maszynowych. Były takie dni, że nie mogliśmy unieść głowy i pozostawaliśmy w rowach. Byliśmy dobrze okopani i odpowiadaliśmy ogniem. Dowódcą tego miejsca był Dakren Kiriati a zastępcą Moshe Szarek z kibucu Degania.

Tam nauczyliśmy się, co to jest dyscyplina używania wody. Woda była przeznaczona wyłącznie do picia. Raz w tygodniu jeździliśmy do Ravivim, aby wziąć prysznic. My, nowi emigranci, byliśmy odcięci od wszystkiego, co się wokół nas działo. Nie mieliśmy dostępu do gazet ani do wiadomości. Byli wśród nas dwaj bracia, Dawid i Moshe Himelfarb, którzy władali hebrajskim i oni czasami tłumaczyli nam nowiny i wiadomości, które słyszeli od Izraelczyków. Pewnego dnia czterech żołnierzy udało się pieszo do lekarza w kibucu Ravivim. Kiedy wracali, panowały już ciemności, a oni nie potrafili znaleźć wejścia do naszego obozu i wleźli na miny. Jeden z nich zginął, a reszta odniosła ciężkie rany. Bardzo niebezpieczna byłaby próba wejścia na pole minowe, aby im pomóc, bo nie wiedzieliśmy, gdzie rozmieszczono miny. Dwaj bracia, którzy mieli doświadczenie bojowe, zaryzykowali i weszli na pole, a ja za nimi. Udało nam się stamtąd wyciągnąć rannych i tego żołnierza, który zginął.

Pomimo ciężkich upałów i trudnych warunków, szybko przystosowaliśmy się do życia na pustyni. Czasami nadchodziła poczta i uśmiech pojawiał się na twarzach tych, którzy

otrzymywali listy z domu. Poczta nigdy na mnie nie robiła wrażenia, bo nikt do mnie nie pisał. Pewnego dnia zawołał mnie dowódca i powiedział: „Dostałeś list". Byłem pewien, że to pomyłka. Ale kiedy zobaczyłem nazwisko nadawcy, to zrozumiałem, że nie chodzi o pomyłkę. List był zaadresowany do mnie, z noworocznymi życzeniami, od mojej przyjaciółki Kamili, która przybyła do Izraela kilka tygodni później na statku „Pan Jurek". Byłem wzruszony i zdumiony. Jak udało się jej mnie odnaleźć na końcu świata? Kto w ogóle wiedział, gdzie jest Bir-aslog oprócz członków Palmachu na południu?

Pocztówka od Kamili sprawiła mi wielką radość. Od tej chwili miałem przyjaciółkę, kogoś, kto się mną interesował, kogoś, za kim mogłem tęsknić, wariować. Po pewnym czasie zrozumiałem, jak Kamila mnie odnalazła. Od razu po wyjściu ze statku zaczęła mnie szukać. Znajomi pomogli jej dotrzeć do wojskowego komendanta Hajfy i po polsku, zmieszanym z jidysz, podała moje dane.

Po zdobyciu Beer-Szewy w 1948 roku zabrano nas do kibucu Dorot. Tam otrzymaliśmy mundury, buty. Buty, w których przyjechałem z Europy, były prawie całkowicie zdarte. Przenieśliśmy się do obozu „Bilu" koło Rehovot i po raz pierwszy dostałem urlop. Podczas poprzedniego urlopu nie wychodziłem w ogóle z obozu, bo nikt na mnie nie czekał, ale tym razem sytuacja była zupełnie inna. Teraz miałem z kim się spotkać i nie mogłem się tego doczekać. Na drugi dzień miałem się zobaczyć z moją przyjaciółką Kamilą.

Spotkaliśmy się w Rehovot, niedaleko od obozu „Bilu", u znajomych Kamili. Bardzo cieszyliśmy się ze spotkania. Aczkolwiek nie mogłem jej nigdzie zaprosić, tak jak bym chciał, bo nie miałem pieniędzy. Mimo to bardzo przyjemnie spędziliśmy wspólne chwile i postanowiliśmy, że się pobierzemy po zakończeniu wojny. Kamila mieszkała w Hajfie, w arabskim domu, razem z jeszcze kilkoma rodzinami. Każda rodzina otrzymała jeden pokój, a kuchnia była wspólna. Kamila poznała rodzinę Złotnickich – Chaję, Izraela i ich cztery córki. Oni uchodzili za Izraelczyków z dużym stażem. Izrael pracował w firmie budowlanej Solel Boneh. Złotniccy odnosili się do Kamili jak do córki.

Dostałem specjalny jednotygodniowy urlop. Chaja i Izrael urządzili nam uroczystość ślubną w Domu Żołnierza przy ulicy Balfour w Hajfie. Ślub wzięliśmy 16 listopada 1948 roku. Na ślub przyszło kilku żołnierzy z mojej jednostki. Ciotka Izraela, która mieszkała na ulicy Halal, usłyszała, że jesteśmy sierotami i zaprosiła nas i gości do jej domu. Tam czekał na nas uroczysty posiłek. Nie da się zapomnieć ludzi takich jak Chaja i Izrael Złotniccy, którzy byli gotowi nam pomagać i wszystkim się z nami dzielić. Po ślubie Kamila pracowała przy pakowaniu pomarańczy w porcie w Hajfie, a ja, po tygodniowym urlopie, wróciłem do bazy.

12 września 1949 roku zwolniono mnie z wojska. Otrzymałem 32 funty. Była to suma, którą otrzymywał każdy żołnierz zwalniany z wojska. Nagle poczułem się zagubiony. Byłem nowym emigrantem, nie znałem języka, byłem żonaty, ale bez zawodu i pracy. Razem z innymi ludźmi z Polski postanowiliśmy założyć osadę z pomocą Agencji Żydowskiej. Ministerstwo Rolnictwa zaproponowało nam, abyśmy się osiedlili w moszawie (mała spółdzielnia rolnicza) Beit Josef w dolinie Beit Shean. Moszaw ten opuściło wielu mieszkańców podczas wojny wyzwoleńczej, a po jej zakończeniu nie wrócili do niego. Propozycja Ministerstwa bardzo nam odpowiadała. Każda rodzina otrzymała gospodarstwo, 500 piskląt, jedną krowę, mulicę i sprzęt rolniczy. Staliśmy się rolnikami. Jeden z chłopców z naszej grupy, Karol

Eisner, wszedł do obory w niedzielę, zanurzył ręce w krowi placek i oświadczył: „Od dzisiaj jestem rolnikiem w Erec Israel".

Do Beit-Josef przyjechaliśmy jesienią. Pogoda była zimowa. W dzień uprawialiśmy pomidory i ogórki, a w nocy pracowaliśmy i staliśmy na warcie. Brzuch Kamili pęczniał i my, przyszli rodzice, robiliśmy plany na przyszłość. Ze względu na to, że nie mogliśmy zarobić dosyć na miejscu, to jeździłem do kibuców Gesher i Newe-Or i tam pracowałem jako robotnik budowlany.

W jedną z zimowych i deszczowych nocy Kamila dostała silne bóle porodowe. Dom był otoczony błotem, a ja musiałem pobiec i zbudzić Szlomo, kierowcę ciężarówki, który woził nasze produkty i mleko do mleczarni Tnuva. Szlomo szybko wrzucił na siebie ubranie i wsiadł do ciężarówki, aby podjechać pod nasz dom. Niestety, właśnie wtedy ciężarówka utknęła w błocie. W ulewnym deszczu pobiegłem do domu traktorzysty Aleksandra i poprosiłem go, aby pomógł wyciągnąć ciężarówkę z błota i dalej na drogę. Deszcz wciąż padał, kiedy dojechaliśmy do szpitala w Afuli. Lekarz zbadał Kamilę i stwierdził, że przyjechaliśmy za wcześnie, i że mamy wrócić za tydzień. Błagałem go, żeby nam zaoszczędził tej ciężkiej podróży. Powiedziałem mu, jak dojechaliśmy do szpitala, a on się zgodził, żebyśmy pozostawili Kamilę w szpitalu pod jego opieką. 27 grudnia 1949 roku Kamila urodziła naszą córkę - Vardę. Każdego dnia rano z kibucu Gesher odjeżdżał autobus do Afuli i z powrotem, i ja nim jeździłem. Do mojej Kamili i Vardy. Miałem rodzinę. Ja, Arie, byłem ojcem rodziny. Byłem szczęśliwy.

Kamila i ja byliśmy szczęśliwi. Naszą przyszłość widzieliśmy w moszawie Beit-Josef. Jednak kiedy nadeszło lato i zrobił się straszny upał, Kamila nie mogła przyzwyczaić się do takich temperatur. Cierpiała na wysokie ciśnienie i lekarz przekonał mnie, że ze względu na jej zdrowie musimy opuścić moszaw. Naszą jedyną możliwością było przeprowadzenie się do obozu nowych emigrantów w Kiryat Ata. Nie było trudno się przeprowadzić, bo dobytku mieliśmy mało. Meble były własnością sąsiadów, którzy nam je pożyczyli na początku, więc je im zwróciliśmy. Ludzie w obozie nowych emigrantów pytali mnie: „Ty przecież jesteś żołnierzem zwolnionym z wojska. Jak to możliwe, że mieszkasz w obozie?"

W obozie mieszkaliśmy z niemowlakiem w „badunie" – to był budynek zrobiony z płótna. Trudno było dostać miejsce w przychodni dla niemowląt, a także w zwykłej przychodni. Toalety w obozie były na zewnątrz i wedle sposobu chodzenia można było ustalić etniczną przynależność osób udających się do nich: sefardyjczyk chodził tam z pudełkiem pełnym wody, a aszkenazyjczyk z gazetą. Tworzyły się długie kolejki ludzi, którzy chcieli kupić trochę lodu i wszyscy byli poirytowani i niecierpliwi. Trudno było znaleźć pracę. Ja miałem szczęście i udało mi się zatrudnić w magazynach firmy budowlanej Solel Boneh w Zatoce Hajfskiej.

Komunikacja miejska między obozem a Zatoką Hajfską była bardzo uciążliwa. Autobusy były przepełnione. Kupiłem stary rower i na nim przyjeżdżałem do pracy na czas.

To nie była stała praca. W słoneczne dni pracowaliśmy osiem godzin, a w deszczowe po dwóch godzinach odsyłano mnie do domu z wynagrodzeniem za dwie godziny. Pierwsza pensja poszła na zakup używanego dziecięcego łóżka. Ale byłem rozemocjonowany, kiedy przywiozłem to łóżko do obozu. Teraz Varda miała spać w prawdziwym łóżku, a nie w drewnianej skrzynce na pomidory, którą przywieźliśmy z moszawu.

Zima w 1951 roku była bardzo ostra. Bez przerwy padał deszcz, a śnieg i wichry zerwały dach „badunu". Pozostaliśmy bez dachu nad głową. Pomimo wszystkich niedogodności byłem optymistycznie nastawiony i wierzyłem, że damy sobie radę. Umiem cierpieć i nie narzekać. Pamiętałem, skąd przybyłem i co mnie tam spotkało. Po dniu pracy jeździłem do Kiryat-Haim uczyć się stolarki w tamtejszej szkole zawodowej. Po ukończeniu tej szkoły znalazłem pracę w fabryce „Kiszon", należącej do Izraelskich Kolei Państwowych. W tej fabryce przepracowałem jakieś dwa lata, a następnie zostałem ładowniczym, a po dłuższym czasie dostałem awans i zostałem maszynistą pociągu pasażerskiego. Na tym stanowisku przepracowałem ponad 41 lat.

Mała Varda była samotna. Nie miała ani babci, ani dziadka, czy też wujka lub cioci. Miała sześć lat i przy każdej okazji powtarzała: „Ja chcę brata". W pierwszych latach uważaliśmy, że Varda nam wystarczy, ale jej prośby zrobiły na nas wrażenie i postanowiliśmy powiększyć rodzinę. W 1951 zostałem wezwany do służby rezerwowej i miałem przejść kurs obsługi ciężkich karabinów maszynowych koło miejscowości „Beit-Nawallah". Byłem na rozmowie z dowódcą bazy i poprosiłem go, aby mnie zwolnił z kursu. Powiedziałem mu, że słabo mówię po hebrajsku, że robię wiele błędów, i że nie umiem ani czytać ani pisać.

„Jeżeli jednostka wysłała pana na ten kurs, to pan to zrobi", powiedział i posłał mnie do działu zaopatrzenia po odbiór ekwipunku.

Kiedy instruktor uczył topografii, wszyscy robili notatki w zeszytach. Ja zapisywałem to, co słyszałem po hebrajsku, ale łacińskimi literami. Dlatego trudno mi potem było to odczytać. Nie czułem się z tym dobrze. Od momentu przybycia do Izraela obawiałem się, że będę musiał się zmierzyć z pisaniem po hebrajsku. To była moja słabość, której bardzo się wstydziłem i która pozbawiała mnie pewności siebie. Bałem się, że będą mnie traktować jak analfabetę. Jak mogłem o tym powiedzieć urodzonym Izraelczykom, z którymi byłem na tym kursie. Dla nich pisanie i czytanie po hebrajsku było czymś naturalnym.

Podczas jednej z lekcji odwiedził nas „Czira" – Zvi Cur, oficer szkoleniowy, a później szef sztabu. Chodził między rzędami, zatrzymał się kolo mnie i spytał, co ja napisałem. „Nie umiem pisać po hebrajsku" - odpowiedziałem. „Proszę się u mnie zameldować podczas przerwy" - poprosił. „Chcę z Panem porozmawiać". Zvi Cur chciał, żebym podpisał zawodowy kontrakt, i powiedział, że wyśle mnie na kurs hebrajskiego a następnie na kurs oficerski. Bardzo chciałem zaakceptować jego propozycję, ale w końcu odmówiłem. Propozycja została złożona w nieodpowiednim momencie. Byłem żonaty, miałem córkę, a Kamila dopiero co zaszła w ciążę. Oprócz tego miałem stałą pracę na kolejach i tam widziałem swoją przyszłość. Ukończyłem kurs obsługi karabinów maszynowych i wróciłem do domu.

Szóstego lutego 1958 roku urodził się nasz syn Avner. Imię dostał po moim ojcu i ojcu Kamili.

Byliśmy z Kamilą już bardziej dorośli i dojrzali. Jako rodzice mieliśmy więcej doświadczenia i cierpliwości dla dzieci. Także wygodniej mieszkaliśmy. Mieliśmy dwupokojowe mieszkanie, Kochana Varda była szczęśliwa, że ma brata. Przez wiele następnych lat powtarzała: „To moja zasługa, że Avner się urodził".

Daliśmy naszym dzieciom wszystko, co było w naszej mocy i czego my w naszym dzieciństwie zostaliśmy pozbawieni, ale nie byliśmy w stanie opowiedzieć im o naszej przeszłości. Nadal nie byliśmy w stanie poradzić sobie z uczuciami bólu i straty. Blizny poniżenia

jeszcze się nie zagoiły. Chcieliśmy dać naszym dzieciom poczucie bezpieczeństwa i radość życia. Myśleliśmy, że lepiej jest opowiadać dzieciom historie o bohaterstwie i sukcesach. Dopiero kiedy zmieniło się nastawienie do ocaleńców i wyrażenie „Zagłada i Bohaterstwo" zastąpiło powiedzenie „jak owce do rzeźni", przełamałem milczenie. A Kamila nie.

## Kamila

Żona Kamila była partnerką mojego życia. Jej się radziłem i jej się trzymałem. Razem utrzymywaliśmy i wychowywaliśmy dzieci. Ona we wszystkim wykazywała inicjatywę i z odwagą i uporem budowała lepszą przyszłość dla rodziny.

Pewnego ranka w latach osiemdziesiątych, gdy czekała w kolejce do lekarza w przychodni, przełamała milczenie. Czas mijał powoli, a ludzie cierpliwie czekali w kolejce. „Kto jest ostatni w kolejce?", spytała kobieta, która weszła do poczekalni w tym momencie. Zwróciła się do niej kobieta w chuście na głowie, wskazała na Kamilę i powiedziała. „Ja jestem za tą z numerem na ręce".

Kamila poczuła, że krew uderzyła jej do głowy i miała nadzieję, że zapadnie się pod ziemię. W tym momencie bardzo chciała usunąć numer, który miała wytatuowany na ramieniu. Chciała wykreślić przeszłość, wspomnienia i cierpienie. Ale w głowie cały czas słyszała kroki maszerujących Niemców. Słyszała ich wrzaski, a płomienie i zapachy, które pamiętała, mroziły jej krew w nocy. Aż, 64 lata później, „nie wytrzymała"…

## Posłowie

Przez wiele lat po wyzwoleniu od nazistowskiego najeźdźcy, aż po dzień dzisiejszy myślałem, że jeżeli kiedykolwiek opowiem o moim życiu, to nikt mi nie uwierzy i potraktuje mnie jak wariata. Przecież żaden normalny człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić, że cały naród jest w stanie zachować się tak okrutnie.

To, co napisałem na tych stronach, to nie cała historia. Ale wszystkiego nie można zapamiętać.

Kiedy patrzę wstecz i wspominam to, co się zdarzyło w moim życiu od zakończenia wojny, to chyba nie można być bardziej szczęśliwym ode mnie. Jestem zadowolony z mojego życia i jako optymista uważam, że z życia należy korzystać w pełni. Bywałem w trudnych sytuacjach, ale się nie poddałem. Zawsze miałem nadzieję, że wyjdę cało z nazistowskiej opresji. Kto przeżył tamte czasy, jest w stanie zrozumieć, jak ważne są wolność i ojczyzna.

Wierzyłem, że po zagładzie świat stanie się lepszy. Wierzyłem także, że ludzie staną się lepsi, i że na świecie zapanuje pokój. Historia narodu żydowskiego to ciąg prześladowań, poniżeń i obraz. Tego wszystkiego doświadczyłem na własnej skórze. Jako naród musimy o tym pamiętać, a najważniejsze to, żeby państwo było mocne i żebyśmy nie musieli liczyć na cuda.

Życzę sobie i mam nadzieję, że moje dzieci i wnuki będą sobie bliscy, że będą żyć w przyjaźni i miłości, że będą sobie wzajemnie pomagać, i że będą wychowywać swoje dzieci w pokoju i tak, żeby nie wyrosły na rasistów. Zawsze warto pamiętać o tym, że nie wolno poniżać innych i że trzeba działać na rzecz wspólnoty.

Długo się wahałem przed napisaniem moich wspomnień. Nie mam pojęcia, jak udało mi się przeżyć. Tylu ludzi wokół mnie zginęło z głodu i tortur. Być może głęboka wiara, że jeszcze uda mi się zobaczyć moją kochaną rodzinę, dała mi siłę i nadzieję na przeżycie.

Być może, że sen, który miałem w obozie „Nekla" i który wyjaśnił mi Natan Leib słowami: „Wszyscy umrzemy, a ty, Areleh, będziesz żył", dodał mi sił. Za każdym razem, kiedy śmierć zaglądała mi w oczy, przypominałem sobie ten sen, słowa Leiba i nabierałem wiary.

Dożyłem upadku Hitlera i nazistowskich Niemiec. Byłem świadkiem powstania państwa Izrael i miałem zaszczyt uczestniczenia w jego budowie. Ale przede wszystkim udało mi się stworzyć rodzinę i ona jest mi najdroższa. Jako partner cudownej kobiety i ojciec dwojga wspaniałych dzieci jestem bardzo dumny. Nie zawsze umiałem to moim dzieciom powiedzieć, być może nawet w ogóle nie, ale ogarniają mnie ciepłe uczucia na myśl o tym, że to moja rodzina i moje wnuki. Mam dużo satysfakcji z faktu, że przeżyłem i że gałąź mojej rodziny będzie rozwijać się dalej.

Do czasu przyjazdu do Izraela umiałem nucić melodię „Hatikvy" (izraelskiego hymnu), ale nie znałem jego słów. A kiedy było to konieczne, to śpiewałem go bez słów, od początku do końca. A po przyjeździe do Izraela i teraz, kiedy już znam jego słowa, jestem niezmiernie wzruszony, kiedy go słyszę. A kiedy dochodzę do słów „być wolnym ludem w swoim kraju", to łzy ściskają mi gardło i znowu nie słyszę jego słów. I jestem pełen uniesienia na myśl o tym, że udało mi się wymknąć z padołu łez i „być jednym z wolnego ludu" w mojej ojczyźnie.

**1. Drewniane domy w Widawie przy Starym Rynku**

**2. Widawa. Jarmark w 1910 r.**

**3. Święto 3 Maja 1919 r. w Widawie**

**4. Widawa. Rynek w okresie międzywojennym**

**5. Panorama Widawy od strony mostu**

**6. Młyn wodny w Widawie**

**7. Straż pożarna w Widawie, w głębi cheder, szkoła dla dzieci żydowskich**

**8. Syjonistyczna organizacja dzieci żydowskich w Widawie. 1933 r.**

**9. Wycieczka do Wieliczki. Siedzą w pierwszym rzędzie: pierwsza z lewej siostra autora, Witla, czwarty z prawej Bogdan Sutarski, kolega z jej klasy. W drugim rzędzie: trzecia i czwarty z lewej siedzą rodzice Bogdana. W ostatnim rzędzie: w środku, Wolnicki, ur. w 1926 roku i powieszony w obozie w Nekli w wieku zaledwie 16 lat**

**10. Spalone przez Niemców w 1939 r. zabudowania wokół rynku w Widawie**

**11. Spalony dom w Widawie. 1940 r.**

**12. Zdjęcie zbombardowanego pociągu, z którego wyskoczył Arie, ratując swoje życie**

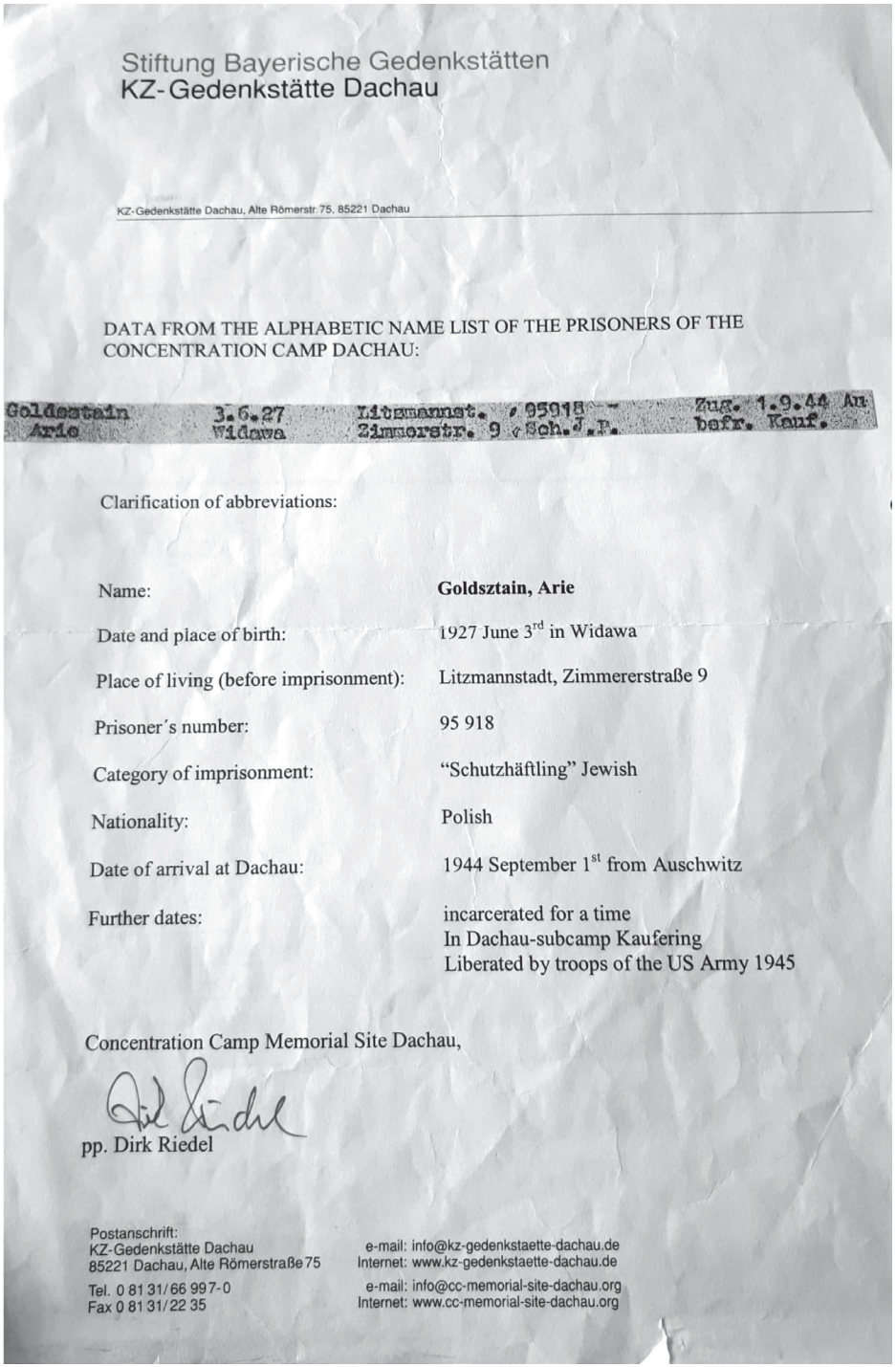

Stiftung Bayerische Gedenkstätten
KZ-Gedenkstätte Dachau

KZ-Gedenkstätte Dachau, Alte Römerstr. 75, 85221 Dachau

DATA FROM THE ALPHABETIC NAME LIST OF THE PRISONERS OF THE CONCENTRATION CAMP DACHAU:

Goldsztain 3.6.27 Litzmannst. 95918 Zug. 1.9.44 An
Arie Widawa Zimmerstr. 9 Sch.J.P. befr. Kauf.

Clarification of abbreviations:

| | |
|---|---|
| Name: | **Goldsztain, Arie** |
| Date and place of birth: | 1927 June 3rd in Widawa |
| Place of living (before imprisonment): | Litzmannstadt, Zimmererstraße 9 |
| Prisoner´s number: | 95 918 |
| Category of imprisonment: | "Schutzhäftling" Jewish |
| Nationality: | Polish |
| Date of arrival at Dachau: | 1944 September 1st from Auschwitz |
| Further dates: | incarcerated for a time<br>In Dachau-subcamp Kaufering<br>Liberated by troops of the US Army 1945 |

Concentration Camp Memorial Site Dachau,

pp. Dirk Riedel

Postanschrift:
KZ-Gedenkstätte Dachau
85221 Dachau, Alte Römerstraße 75
Tel. 0 81 31/66 997-0
Fax 0 81 31/22 35

e-mail: info@kz-gedenkstaette-dachau.de
Internet: www.kz-gedenkstaette-dachau.de
e-mail: info@cc-memorial-site-dachau.org
Internet: www.cc-memorial-site-dachau.org

**13. Dokument z archiwum obozu w Dachau z numerem obozowym i datą przyjazdu Ariego Goldsteina do podobozu Kaufering z Auschwitz**

**14. Kaufering 1946 r. Autor (siedzi z lewej) z ocalonymi kolegami. Stoją z prawej: Julek Optuj, Abraham Bożowski, Szymon Celnik, Abraham, Ure Borkowski, Moniek Optuj, Efraim Neuman, Gawłowicz Szmulik, Benek Optuj**
**Siedzą: Abraham Pik, Hemel (Chaim) Borkowski, (zmarł w Kaufering), Abraham Lipszyc, Berl Wisznik, Uret, Arie Goldstein, Benisz Optut**

**15. Arie w Niemczech, przed emigracją do Izraela**

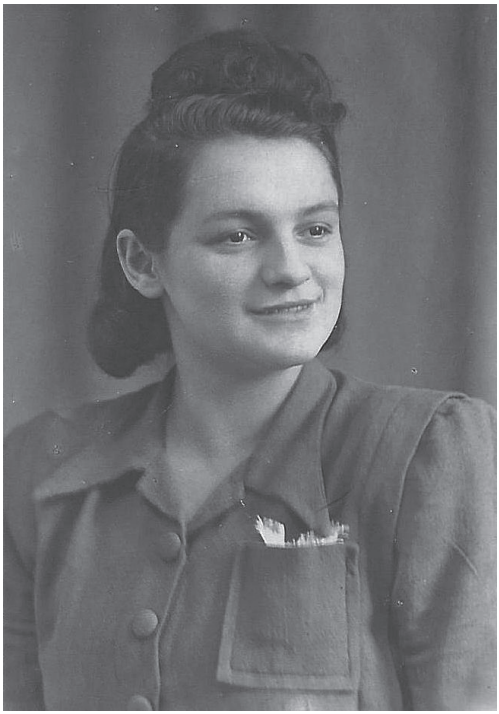

**16. Kamila, przyszła żona Arie Goldsteina**

**17. Arie w armii izraelskiej. 1948 r.**

**18. Arie Goldstein (stoi pierwszy z lewej) z kolegami z armii izraelskiej. 1948 r.**

**19. Arie Goldstein w Izraelu. Lata pięćdziesiąte XX w.**

**20. Kamila i Arie Goldstein w Hajfie w Izraelu**

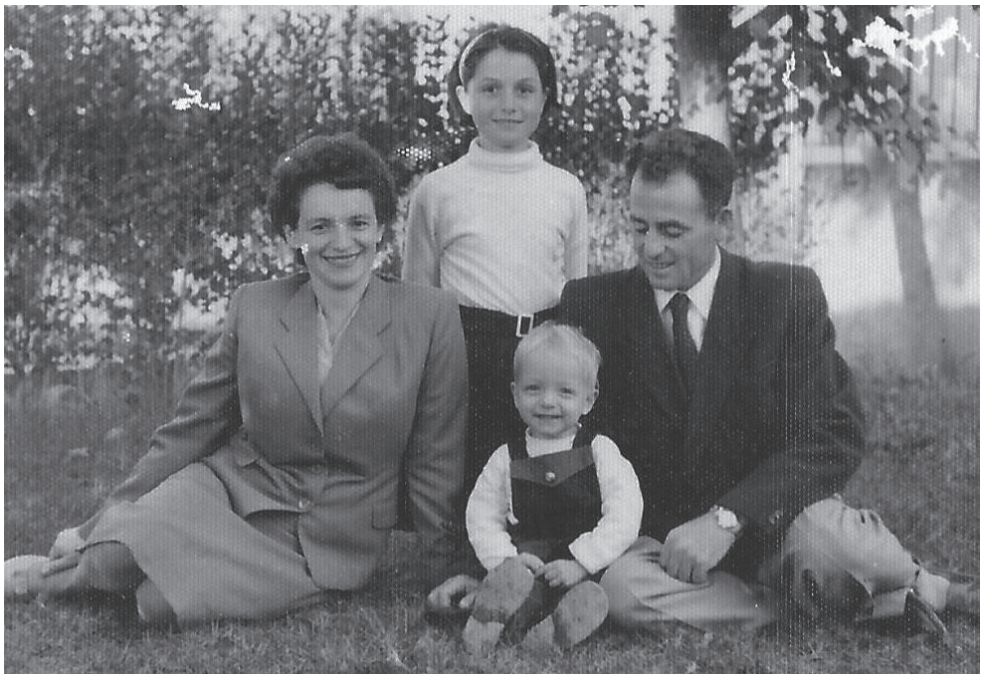

**21. Rodzina Goldsteinów: Kamila, Varda, Avner i Arie. 1962 r.**

**22. Kamila i Arie**

**23. Spełnione marzenie. Arie Goldstein pracował w Izraelu przez 45 lat jako maszynista kolejowy**

**24. Po latach przyszedł czas na podróże do dawnych miejsc kaźni. Podobóz nr 7 KL Dachau – Kaufering**

**25. Przed ziemianką w Kaufering**

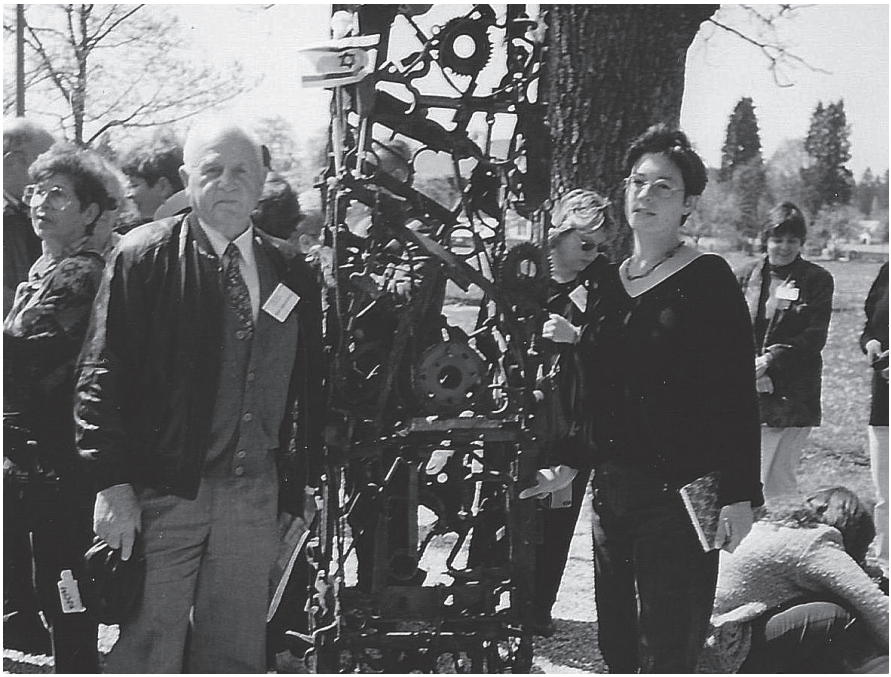

**26. Z wnuczką Anat w podobozie nr 7, przy pomniku upamiętniającym wspólny grób 8000 więźniów, w którym pochowany został ojciec. 1995 r.**

**27. Przed szkołą w Widawie. 2002 r.**

**28. Z przyjacielem z dzieciństwa w Widawie. 2002 r.**

**29. Budynek dawnej synagogi w Widawie. 2002 r.**

**30. Odwiedziny w Nekli 11 sierpnia 2002 r.**

**31. Z burmistrzem Ryszardem Kordusem w miejscu obozu Gemeinschaftslager der DAF nr 22 w Nekli. 11.08.2002 r.**

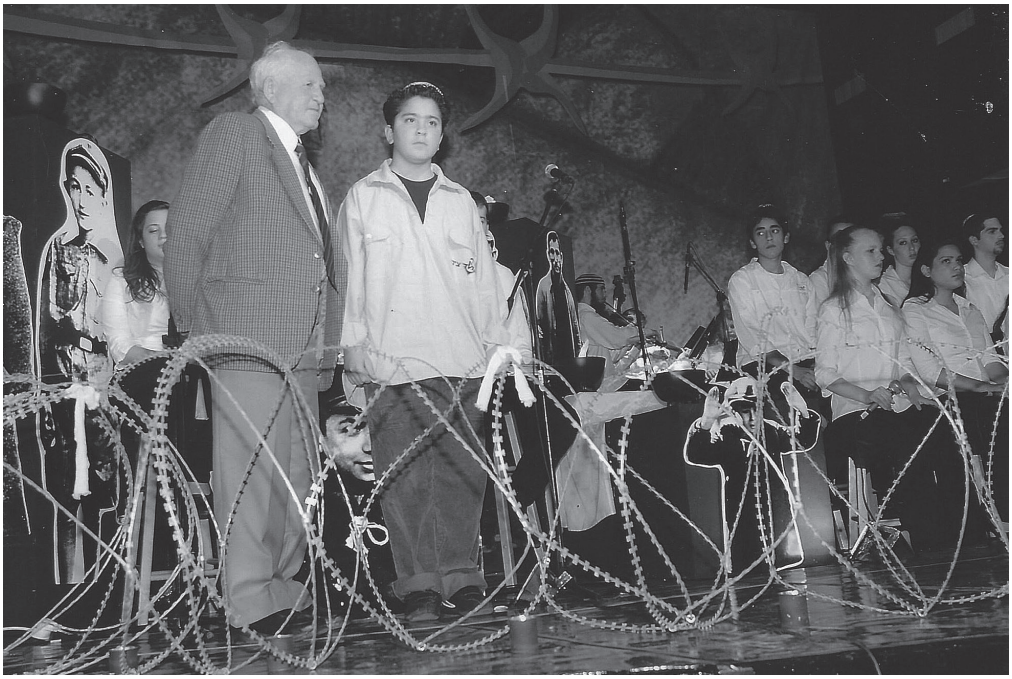

**32. Podczas spotkania wspomnieniowego z młodzieżą szkolną w Izraelu z okazji dnia Holokaustu. Kiryat Ata**

**33. Podczas wyjazdu pamięci ze studentami izraelskimi do Polski**

**34. Arie Goldstein ze swoimi dziećmi Vardą i Avnerem na pustyni Negew, gdzie odbywał służbę wojskową**

**35. Rodzina Arie Goldsteina w 2005 r.**
**Stoją od lewej: Meir Shpaizer – zięć Ariego, Varda Shpaizer – córka Ariego z wnuczką Miką na rękach, Amit Shpaizer – syn Vardy, Noam Paz Unique – córka Avnera, Adi Shpaizer Katzenelson – córka Vardy, Anat Shpaizer Miller, córka Vardy, Eden Paz – syn Avnera, Eliyahu Miller – mąż Anat, zięć Vardy, Irti Paz – synowa Ariego, żona Avnera, Avner Paz- syn Ariego, Ela Paz Gur Arie – córka Avnera**
**Siedzą Bruria Avni i Arie Goldstein**

**36. Siedzą: Arie Goldstein i Eden Paz (syn Avnera), stoją:Avner Paz i Varda Shpaizer, dzieci Ariego**

**37. Arie Goldstein z synem Avnerem Paz**

**38. Od lewej: Elyahu Miller, zięć Ariego, jego córka Mika oraz Adi Shpaizer Katzenelson, córka Vardy. Stoi Arie Goldstein**

**39. Anat Miller, córka Vardy,
z dziećmi Miką i Jhonathanem**

**40. Arie Goldstein z prawnuczką Miką Miller i wnuczką Elą Arie Gur, córką Avnera**

**41. Rodzina Vardy Shpaizer. Od lewej: Eliyahu Miller – mąż Anat, Shaked – c. Adi, Adi Shpaizer Katzenelson, Naama Shpaizer – c. Amita, Mika Miller, Jhonathan Miller, Zdaj Shpaizer – s. Vardy, Neta Shpaizer – c. Amita, Varda Shpaizer – c. Ariego, Hadad Shpaizer Katzenelson – c.Adi, Michal Rozen Shpaizer – ż. Amita, Erez Shpaizer Katzenelson – mąż Adi, Meir Shpaizer – mąż Vardy**

**42. Rodzina Avnera Paz – syna Ariego Goldsteina. Od lewej: Avner Paz – syn Ariego, synowa Irtyi Paz, Nadav Unique – mąż Noam, Noam Paz Uniqe – córka Avnera, Ela Paz Gur Arie – córka Avnera, Eden Paz – syn Avnera, Shahar Gur Arie – mąż Eli – zięć Awnera**